

Krymina

– Chcę, żeby panowie śledzili tę kobietę – zażądał Filip Konieczny, a jego bezwzględna dystynkcja wymagała natychmiastowego podjęcia wyzwania.

Dla tandemu śledczego Ernest i Spółka była to pierwsza sprawa, którą udało się złapać. Wszystkie poprzednie były zbyt delikatne, ulotne i efemeryczne, by założyć im choćby prowizoryczne akta. W szufladzie służbowego biurka Ernesta spoczywało zaledwie kilka drobnych śladów, podestanych młodemu detektywom przez życzliwych sąsiadów i znajomych. Był wśród nich zakrwawiony bilet kolejowy do Kazimierza Dolnego. Damian ukrył go w specjalnej, zamykanej na kluczyk kasetce i od czasu do czasu wyjmował, by pomarzyć o ciągu dalszym zagadki.

– Kazimierz nie ma linii kolejowej – przypominał mu zawsze Ernest.

– No właśnie – zapalał się Damian, ale po jakichś dwóch godzinach gasł od potu, który chętnie wylewał przy pracy intelektualnej.

Szuflada Ernesta kryła jeszcze wiele innych „dziwności”. Tajemniczych narzędzi zbrodni. Nerwowych zapisków sporządzonych na podstawie własnych podejrzeń i obserwacji. W specjalnym pojemniku leżało jabłko, a właściwie zasuszony ogryzek, na którym widniały ślady po nietypowym użębieniu konsumenta. Szczątki owocu przez blisko tydzień frapowały detektywów. Damian zaprowadził nawet specjalny katalog dla wampirów i wilkołaków, ale zapiski w nim były tak błahe, że któregoś dnia uleciały wraz z kurzem ścieranym z szuflady.

Dopiero wizyta Filipa Koniecznego otworzyła nowy, realny rozdział działalności ich dwuosobowej firmy śledczej.

– Ta dama, której zdjęcie przyniosłem – Konieczny wskazał na niedużą, czarno-białą fotografię – podbiła, że tak powiem, moje serce. Panowie rozumieją, mam wobec niej tak zwane poważne zamiary, a z racji swej pozycji nie mogę ryzykować skandalu. Nic nie wiem o tej cudkobiecie, poza tym, że chadza do pijalni wód Jana, nie gardzi gadżetami z pism kobiecych, nosi się z gracją i zachowuje nad wyraz subtelnie. Nigdy nie widziałem jej w towarzystwie, toteż jestem w podwójnie niezręcznej sytuacji. Nie ma nas kto sobie przedstawić, nie mam też pojęcia do

jakich sfer należy. Kieruję się w swym zachwycie wyłącznie wrażeniami estetycznymi.

Kobieta na fotografii faktycznie przyprawiała oczy o drzenie. Młodzi detektywi z trudem uspokajali swój rozbiegany wzrok. Poczuli jednocześnie głębokie niepokoje duszy. Damianowi przypomniało się lato na wsi, gdy podglądał dwie młodzianki dziewczyny kąpiące się w stawie należącym do jego wuja. Ernesta naszała ochota na orzechowe rogaliki wykradane notorycznie jego świętej pamięci babce. Młodzieńcy pochylali się coraz niżej nad zdjęciem. Jeszcze chwila a oparliby nosy o jego matową fakturę.

– Skąd zdobył pan tę fotografię? – zainteresował się Ernest, łapiąc z trudem równowagę. Damianowi nic już nie mogło pomóc i z całą mocą wpadł w urokliwe moce czarno-białej damy z parasolką przeciwsłoneczną.

Filip Konieczny okrył się lekkim zmieszaniem. Przez chwilę żałował, że skierował swą prośbę do tak nieopierzonych młodzieńców. Zaraz też machnął białą rękawiczką chcąc poluzować ciasnotę kołnierzyka sytuacyjnego.

– Zapłaciłem ulicznemu fotografowi – przyznał po zaczerpnięciu dystansu.

– Rozumiem – skwitował Ernest, a Damian wykonał niedbały zapis w kąciku. Później okazało się, że zanotował przepis na syrop z pigwy, podpatrzony niegdyś u matki.

– A skoro jesteśmy przy sprawach portfelowych – Filip Konieczny sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta – jaką zaliczkę panowie sobie winszują?

Firma Ernest i Spółka nie miała jak dotąd żadnych dochodów. Obydwaj młodzieńcy musieli parać się niegodnymi ich profesji zajęciami zarobkowymi. Wizja zaliczki na konto pierwszej prawdziwej sprawy była dla nich szalenie miła. Obydwaj spuścili wzrok, by Konieczny nie dostrzegł nazbyt jasnej iluminacji w ich oczach.

– Standardowo bierzemy dwieście pięćdziesiąt złotych, ale od prawdziwego gentlemana wystarczy dwieście – zaryzykował Ernest. Za dwieście złotych mogli opłacić miesięczny czynsz i wykupić kwartalny abonament obiadowy u pani Zaleskiej.

Konieczny spojrział na nich ważąc z wprawą wartość Spółki. W stosunku do możliwości jego portfela, podana kwota nie była wygórowana. Trzy składy z jedwabiem, papiernia, pole golfowe i prężna firma kurierska sytuowały go wśród najzamożniejszych przedsiębiorców powiatu. Był powszechnie znaną osobą i dlatego bał się zlecać śledztwo któreś z znanych kancelarii. Gdyby szło o windykację długów skierowałby się

z pewnością do Kostii Grubowa albo do Braci Stanisławskich. Tu jednak zależało mu przede wszystkim na dyskrecji. Jego żona miała zbyt dobre kontakty wśród miejscowej palestry. Poza tym wszyscy ważni i znani współpracowali po cichu z prasą i to tą najpodlejszą. Koniecznemu raz już pośliznęła się noga. Pewna zdesperowana prostytutka, z której usług lubił korzystać, chciała go zrobić w romans. W swej naiwności wysłała list do żony Koniecznego a także – co gorsza – do jego teściowej, podstarzałej lwicy salonów, która nie cierpiała Koniecznego za jego wąskie usta i także same horyzonty myślowe. Stara Krantzowa nazwała go wówczas publicznie ordynusem i zarzekła się, że więcej nie siądzie z nim przy jednym stole. Konieczny, choć w pogardzie miał teściową, musiał liczyć się z jej wysoko postawionym towarzystwem. Przeto srodze zemścił się na lekkomyślnej ladacznicy. Nie dość, że załatwił jej wilczy bilet, z którym wszystkie burdele w powiecie były dla niej zamknięte, to jeszcze nasłał na nią policję obyczajową, która pozbawiła dziewczynę prawa opieki nad dzieckiem.

Ani Ernest, ani Damian nie wiedzieli o tej historii. W owym czasie jeszcze studiowali, nie odnosząc specjalnych sukcesów w dziedzinie jakiegokolwiek prawa. Może z wyjątkiem prawa do tolerancji. Przyjęcie zlecenia od Koniecznego było dla nich niebywałym awansem losu.

Gdy domówili resztę spraw i pożegnali swojego wspaniałego klienta, dali się ponieść szczerzej, niemal chłopięcej radości. Ich uboga kancelaria mieszcząca się na ostatnim piętrze czynszowej kamienicy, należącej do Szymona Weissa, z trudem przeżyła ten wybuch entuzjazmu. Całe, jednoizbowe pomieszczenie i bez tego ledwo trzymało się kupy. Nieliczne meble z trudem podierały krzywe i popękane ściany, gazety zakrywały dziury w podłodze, a szyby w oknach od dawna wymagały świeżego kitu.

– Jesteśmy bogaci!

– Będziemy sławni!

– Wszyscy będą nam się kłaniać!

Przekrzykiwali się pomiędzy toastami z powietrza na własną cześć i innymi równie teatralnymi swawolami.

Gotowi byli z miejsca przystąpić do pracy. Spisali błyskawicznie wszystkie informacje przekazane przez Koniecznego. Przede wszystkim miejsca i godziny w jakich widywał on tajemniczą wybrankę swego serca. Opisy jej zwyczajów, strojów i zachowań. Pochylili się też swobodnie nad zostawioną im fotografią i wzdychając analizowali wszelkie widoczne elementy cudownej, kobiecej postaci.

– Nie boisz się?

– Czego? – Damian zrobił minę, która o mało nie wybuchła.

– No, że się zaangażujesz? Przecież to absolutnie niebiańska kobieta!

Ernest był bystry i oczytany. To on firmował imieniem spółkę detektywistyczną. Skończył studia w terminie. Ale w kontaktach z kobietami dominował zawsze Damian. Po pierwsze z racji wyraźnie atrakcyjniejszej aparycji. Silne, zdrowe ciało, smukłe, delikatne dłonie, oczy o unikalnej głębi i niemal kobiecej oprawie, do tego modny, krótko przycięty wąsik. Wszystko to w powiązaniu z niebywałym talentem do flirtowania czyniło z Damiana istną maszynę podbojową. Ernest miał za duży nos, zbyt wąskie ramiona i wiecznie zmarszczone czoło. Przy tym nosił się nie tylko skromnie, ale i bez cienia gustu. Stąd też zazdrościł Damianowi jego kolejnych romansów, które z pewnością byłyby jeszcze liczniejsze, gdyby nie pusta kieszeń.

Damian puścił do Ernesta oko, a ten schował je zmyślnie do kieszeni mocno wytartej kamizelki.

– Nie wygłupiaj się – Damian odebrał własność i, udając obrażonego, podszedł do okna. – Jestem profesjonalistą. Konieczny zniszczyłby nas gdybyśmy nie byli lojalni.

– No wiem. Dlatego dzielę się obawami. Wiem, że lubisz się zapatrzyć...

Damian skrzywił się. Jego twarz przez moment stała się lustrem odbijającym rysy starego zrzędy.

– Nic się nie bój, zachowam dystans. Najwyżej na akcje z bezpośrednim kontaktem sam będziesz chodził. Ja zajmę się rozpracowywaniem tła...

Ernestowi nie bardzo wystarczała taka obietnica. Poza tym bał się o własne uczucia. Coś szczególnie nurtowało go w tej kobiecie. Jej twarz... wydała mu się teraz dziwnie znajoma. Krótki przeblysł gruchnął piorunem w pokład wspomnień z okresu dojrzewania. Po chwili przygasał, zostawiając jednak niewielki ślad, który Ernestowi udało się skryć w fałdzie zmarszczonych brwi. Pomimo ewidentnych kompleksów czuł, że w tej kobiecie mógłby się bez pamięci zadurzyć. I dla Spółki byłaby to z pewnością jeszcze większa katastrofa, niż w przypadku Damiana.

Drzwi kancelarii zastukały trzy razy.

– Kolejny klient? Co za dzień! – ucieszył się Damian

– Dzień dobry. – Do pokoju weszła sąsiadka z góry. Pani Aldona, kobieta niespełna czterdziestoletnia – wdowa po oficerze armii konnej. Wciąż jeszcze z pretensjami. Weszła w szlafroku i z papilotami na głowie. – Jak dobrze, że panów zastałam! Taka mnie przed chwilą przykróść spotkała!

Aldona Stobierska nie potrafiła komunikować się zwykłym głosem. Zawsze balansowała na pograniczu władczego krzyku i hysterii. Tłuma-

czyła, że ma to po nieboszczyku mężu, który z racji wieku był niestety przygłuchy. Ale w istocie winny był jej charakter. Każde zdanie wypowiadała z afektem.

Ernest nie cierpiał jej bardziej od kataru. Za to Damian okazywał wyraźną słabość, co udowodnił pewną nieprzyzwoicie długą wizytą, z której nie chciał się później wypowiadać. Tym razem jednak zareagował nad wyraz oschle.

– Pani wybaczy, ale jesteśmy mocno zajęci.

– Ale mnie zginęła świnka morska! Pan wie, drogi Damianie – moja słodka Pusia! Pan mi ją kiedyś tak ładnie odnalazł!

– Tak, tak, pamiętam... – Damian lekko się zmieszał. Być może było to podczas tamtych przydługich odwiedzin... – Ale teraz absolutnie nie mogę ruszyć na ratunek. Może później...

– Och to straszne! Ona być może dusi się gdzieś z braku powietrza!

– Przykro mi – Ernest włączył się do rozmowy rzadko używanym, nad wyraz kategoriycznym, tonem. – Mamy inną, pilną sprawę. Pani świnka będzie musiała tym razem poczekać. Przeto żegnam i... – Ernest chciał wskazać drzwi, ale Stobierska wcale nie zamierzała na nie patrzeć. Wbiła wzrok w Damiana i wierciła w nim potwornie całą swą fatalną mocą.

– W takim razie ja spróbuję pani pomóc – zaoferował się Ernest.

Postanowił zastosować stary, niewyszukany fortel. Na Stobierską był on jednak wystarczająco dobry. Ernest udał, że rusza na pomoc. Oczywiście w drzwiach puścił sąsiadkę przodem – jak na gentlemiana przystało – a gdy tylko kobieta znalazła się za progiem, błyskawicznie zamknął drzwi i przekreślił zasuwę.

Aldona Stobierska przez dobrych kilka minut dawała wyraz swemu zagniewaniu, ale młodzieńcom nie było to w stanie popsuć humoru. Zamierzali odczekać tyrawy za drzwiami i chwilę potem spokojnie opuścić mieszkanie.

Damian schował do szafy służbowy krawat, a Ernest odpiął białe mankiety. Wychodząc na akcję zawsze kryli się za powszedniością. Tylko w kancelarii zachowywali oficjalny, urzędowy styl.

– O cholerka! – Nie ucieszył się Damian, wyglądając przez okno. – Znów to diabelstwo.

Ernest spodziewał się ujrzyć przed domem krępującą zaporę ze Stobierskiej, która jakoś ucichła za drzwiami. Ale problem był całkiem innej natury. Oto pod oknami kamienicy sunął wolno tramwaj hrabiego Drwęca. Juliusz Drwęca był jedynym prawdziwym arystokratą w okolicy. Czuł się kompletnie wyobcowany społecznie i od dawna marzył o zmianie swego magnackiego statusu. Zazdrościł fabrykantom i kapitalistom

pokroju Filipa Koniecznego, którzy pchali ten kraj do przodu. Hrabia Drwęc niemal do reszty opuszczony przez służbę, trawił czas wśród splekanych ścian swego pałacu. Całymi dniami obmyślał jak wyrwać się ze swej historycznej matni. Próbował nawiązywać pospolite znajomości, czytał blogi, rozdawał jałmużnę, ale jego sytuacja społeczna nie ulegała poprawie. Pewnej fatalnej nocy postanowił wzorem najznamienitszych filantropów ufundować okolicznej ludności jeden z ważnych dziejowo cudów techniki. Jego wybór padł na tramwaj elektryczny. Rzecz absolutnie sprawdzoną i na poziomie. W tym celu zaprosił dwóch przygodnie poznanych inżynierów, którzy spędzali właśnie wolny czas w pobliskim uzdrowisku i zlecił im sporządzenie projektu linii tramwajowej. Sam zaplanował trasę przejazdu. Nawiązał kontakt z zakładami, które produkowały nowoczesne maszyny torowe. Był przekonany, że tramwaj uczyni życie miasteczka bardziej miejskim, a jemu samemu pozwoli zamknąć gnusną, arystokratyczną epokę. Wystarał się w starostwie o akceptację dla tego szalonego zamysłu i przystąpił z pełną parą – a właściwie z pełną elektromocą – do wdrażania swej śmiałej wizji. Niestety prace od początku szły fatalnie. Panowie inżynierowie jakoś nie przyłożyli się do zadania. Ich projekt był zdecydowanie przepity i słaby. Linia tramwajowa rwała się, przeskakiwała i załamywała w karkołomnych zakrętach. Trakcja elektryczna iskrzyła i powodowała niebezpieczne wyładowania. Uroczyste oddanie tramwaju do użytku publicznego zakończyło się od razu katastrofą. Maszyna przejechała zaledwie sto metrów i uległa wykolejeniu, cudem nie czyniąc strat w ludziach. Tramwaj bez przerwy powodował niebezpieczne wyładowania miejscowej sieci elektrycznej i – nie wiedzieć czemu – systematycznie przeszkadzał w prowadzeniu rozgrywek o mistrzostwo IV ligi piłki nożnej. Trudno się zatem dziwić, że ludzie od początku byli tramwajowi przeciwni. Gdy się tylko pojawiał, dozorczy w pośpiechu zamykali bramy, a ludzie zatrzaskiwali w domach okiennice. Nikt nie chciał korzystać z takiego środka komunikacji. Nierentowny dodatkowy wagonik poszedł na złom. Proboszcz obrzucił hrabiego Drwęc oficjalną kłatwą. Tramwaj niczym statek widmo krążył pusty po głównych ulicach. Władze pod naciskiem opinii publicznej i własnego rozsądku ograniczyły jego ruch do dwóch, a zaraz potem do jednego dnia w tygodniu. Hrabia, który wciąż wierzył w swój tramwaj, został jego jedynym motorniczym. Robił co mógł, by zdobyć zaufanie i sympatię mieszkańców, ale pozbawiony żyłki handlowej popełniał błąd za błędem. Nie pomogły reklamy w telewizji kablowej. Ta też musiała poczekać na swoje czasy. W końcu Drwęc **zostawił maszynę samopas** i dopiero wtedy zaczął się prawdziwy dramat.

– Znowu ta zaraza! Niech ją szlag! – krzyczeli hodowcy drobiu, pod-

rasowani dresiarze i wszyscy miejscowi ekolodzy, gdy tramwaj wyjeżdżał na ulice.

Według jedynego sondażu zleconego w OBOP-ie przez hrabiego, popularność tramwaju mieściła się w dolnych granicach wykrywalności. Pomimo tego, elektryczny potwór przeżył.

– No to musimy poczekać, aż zabraknie prądu – stwierdził Ernest i opadł na łóżko, które zaskrzyphiało serdecznie.

– A ja chyba z braku laku przeproszę panią Aldonę.

– Jak chcesz. Ja się trochę pozastanawiam.

Ernest lubił to zajęcie. Zwłaszcza z perspektywy serdecznie skrzypiącego łóżka.

Damian zdjął kamizelkę i poszedł na górę. Nie było go dość długo. Prawie tyle, co kiedyś. Ernest w tym czasie układał w myślach plan działań. Kojarzył posiadane kontakty, zadawał poważne pytania, szperał w pamięci. Gdy jego kompan wrócił, obydwaj mieli w głowach całkiem nowe refleksje.

– Ciekawe, czy się zabawił? – przeszło Ernestowi przez myśl sakramentalne pytanie zakompleksionego mężczyzny. Ale głośno spytał.

– I co, znalazłeś?

– Świnę morską – odparł Damian, udając, że nie usłyszał przecinka w głosie partnera.

– Gdzie się schowała?

– Za ścianą.

– Aha.

Nie było o czym dalej gadać. Pozostawieni na łasce czterech niepewnie stojących ścian, młodzieńcy oddali się lżejszym zajęciom. Damian położył się na boku – ciut zmęczony po sprawie ze świną Stobierskiej. Ernest postanowił natomiast zajrzeć do swej gigantycznej kolekcji pozornie nieistotnych drobiazgów. Nawyk zbierania i gromadzenia przeróżnych przedmiotów i rzeczy, które dało się jakoś z sobą powiązać i skojarzyć, wyniósł z wczesnego dzieciństwa. Zaczęło się klasycznie – od ołowianych żołnierzyków. Niestety ojciec oddał je na przetopienie gdy uznał, że Ojczyzna znalazła się w potrzebie. W tym samym czasie poddał się też przemilczanej przez wszystkich głodówce. Potem w życiu Ernesta pojawiły się znaczki, które szybko zastąpiły opakowania i etykiety towarów kolonialnych. I tu znów cała kolekcja przepadła w rękach ojca, który w czasie wielkiego kryzysu nie mógł patrzeć na barwne dowody istnienia łakoci i delikatesów. Ostatnią wartą odnotowania kolekcją były zestawienia „Billboardu”. Tę jednak sam zarzucił ze wstydem, gdy głosu doszły boysbandy. Nauczony smutnymi doświadczeniami, Ernest zmienił taktykę zbieracką. Postanowił kolekcjonować rzeczy abstrak-

cyjne i bezużyteczne, które nikogo innego nie mogłyby w żaden sposób zainteresować. Tak oto stworzył zbiór śladów po ludziach odwiedzających jego dom rodzinny. Gromadził paprochy z ubrań, odciski podszew butów, porzucone przez gości pomysły, plany i marzenia. Notował słowa, robił zgrabne szkice, zapisywał nawet charakterystyczne zapachy... Czyż można się dziwić, że z taką pasją wyrósł na detektywa?

Na dobrą sprawę hobby to kontynuował nieprzerwanie do chwili obecnej. Ale z momentem gdy opuścił dom rodzinny i rozpoczął dorosłe życie, poczuł że jego możliwości zbierackie zyskały nowe możliwości. Bynajmniej nie finansowe, bo w tym względzie raczej mu się pogorszyło. Przestał jednak lękać się, że ktoś zamieni nagle jego zbiór w bryłę ołowiu, lub niecierpliwą frustrację. Damian, który poza kobietami nie czuł pasji kolekcjonerskiej, popierał starania przyjaciela i czasem przyczynił się do zdobycia jakiegoś cennego eksponatu. Ernest założył bowiem kolejne zbiory osobliwości. Gromadził na przykład wróżby andrzejkowe. I to nie opisy zwyczajów, lecz wszelkie pozostałości po wieczorach spędzonych na laniu wosku, grzebaniu w fusach i tak dalej. Notował nazwiska uczestników zabaw i załączał przypadające im wyroki andrzejkowego losu. Była to rzecz jasna niezwykle krucha kolekcja i nie mało wysiłku należało włożyć w utrzymaniu jej przy trwaniu. Z czasem większość wróżb zbladła i rozpadała się w pył (niektóre pyłem były już u swego zarania). Została tylko w formie pisemnej notatki, atramentowego galimatiasu znaków postawionych ręką Ernesta, sporządzonego na gorąco szkicu.

– Jak myślisz, ta kobieta, czy ona dostrzegła zainteresowanie Konicznego? – Ernest przerwał czas leniwej egzystencji.

– Na pewno. Kobiety są w tym względzie nadzwyczaj bystre.

– No właśnie...

Ernest zamyślił się odrobinę. Damian wstał z kanapy i leciutko zachęcił kolegę do pociągnięcia tematu.

– No bo skoro ona już wie, to coś pewnie knuje.

– Coś ty! – obruszył się Damian. – Od razu widać, że nie znasz się na kobietach.

– Zwłaszcza urodziwych, prawda?

– Żebyś wiedział! Może znasz się na starych ciotkach, grubych ekspedientkach i jakichś tam kocmołuchach, ale na tych czarujących panienkach, wytwornych elegantkach, różanych dziewczętkach nie wyznajesz się nawet na jotę!

Panowie trochę się ze sobą posprzecali. Zadowoleni, że trawią w ten sposób zepsuty przez tramwaj czas, nawymyślali sobie od głąbów, osłów, firyków, wytykając różne niegroźne przypadłości. W ten sposób dość

daleko odbiegli od pierwotnego przedmiotu dyskusji. Do porządku przywołała ich syrena wozu strażackiego. Czerwony beczkowiec z sikawką mknął ulicą gasić kolejny zapłon wywołany iskrą z trakcji tramwajowej. Każdy, najdrobniejszy nawet pożar skracał czas tramwajowych harców i przekreślał szanse Drwęca na tytuł „Dobroczyńcy roku”.

– No to możemy się powoli szykować do wyjścia – ucieszył się Damian i poprawił grzebykiem fale swej romantycznej fryzury.

★

Filip Konieczny nie ufał żadnym mechanicznym środkom transportu. W samoloty tak do końca nie wierzył, samochodów się bał, a koleją jeździć nie lubił. Trochę mu to utrudniało prowadzenie działalności handlowej, ale od czego była poczta, telegraf i hipnoza. Z Apolinarym Szwarcem prowadził długą, listowną korespondencję, zanim poczuł się zmuszony do osobistej wizyty.

W drodze na stację głośno krytykował żonę, która przygotowała mu zbyt ciężki kufer podróżny. W istocie sam był temu winien. To jego maniackie przywiązanie do najcięższych w powiecie przyborów toaletowych przydało bagażowi zbędnych kilogramów.

– Słyszałem, że są miejsca na świecie, gdzie ludzie umierają z brudu. Skąd mam wiedzieć jak jest tam, gdzie jadę, skoro to moja pierwsza wizyta! – argumentował pakując dodatkową kostkę mydła.

– Tak, tak. I mydła z pewnością tam brakuje – kpiła żona, która była święcie przekonana, że dbałość męża o higienę związana jest przede wszystkim z potrzebą tuszowania wszelkich woni ładacznicy.

Od czasu historii z tamtą dziewczyną nie miała złudzeń co do zwyczajów męża. Nic nie wiedziała natomiast o zaistniałym niedawno platonicznym uczuciu do nieznajomej.

Tymczasem Filip cierpiał także, z powodu przymusowego rozstania z widokiem ukochanej. Miał jej nie oglądać przez całe dwa dni. Owszem, nie widywał jej czasem i dłużej, ale każdego dnia żył nadzieją, że spotka go to szczęście. Tam dokąd jechał, nie mógł sobie nawet pomarzyć. Wbrew podejrzaniom żony wcale nie zamierzał szukać pocieszenia w burdelach. Odkąd ujrzał i pokochał tę niebiańską kobietę, tamto stało się ohydne i zwierzęce.

Woźnica milczał przestraszony wybuchowym nastrojem swego pana. Modlił się w duchu, by niczym nie podpaść. Co gorsza zaprzął w parze nowego konia – wyjątkowo narowiste bydlę, którego nie był jeszcze pewien. Gdyby na drodze pojawił się jakiś samochód, nie wspominając nawet o przeklętym wehikule hrabiego, mogłoby dojść do paskudnego karambolu.

Na szczęście droga była pusta, a wyboje jakimś cudem nie wpadały pod koła bryczki. Niestety woźnica i tak spocił się mocno, a wiatr przywiał woń spod jego pach w nozdrza Koniecznego.

– A fuj! Myjże się ty chamie częściej niż raz na tydzień! – zawołał Filip z obrzydzeniem. – Nie dotarło jeszcze do twych uszu, czym jest higiena? Nie słyszało się o bakteriach i mikrobach? Boże Drogi! Potem przez takich prostaków zarazy się panoszą po ulicach!

Biedny chłop otarł pot skąd mógł, czyli głównie z czoła. Chciał powiedzieć, że mył się dziś rano, ale nie zebrał w sobie aż takiej śmiałości. Na jego szczęście stacja kolejowa była już nieopodal. Jeszcze jeden zagajnik, górka z papieską kapliczką, łąka Mozków i już będzie widać zgrabny, drewniany budynek postawiony jeszcze za czasów Moskali.

Konieczny zajął miejsce przy oknie. Gdy wsiadał, w przedziale nikogo więcej nie było. Wyjął gazetę i zaczął czytać. Przeglądał dział kupiecki i wieści z Pekinu. W Stalowej Woli dosiadł się tęgi jegomość, którego czuć było czosnkiem. Konieczny chorobliwie nie znosił tego zapachu. Z miejsca zrobił awanturę na pół wagonu. Zawezwał konduktora i zażyczył sobie odseparowania od „kielbasianego jegomościa” – jak nazwał mężczyznę, który w swej jowialności przyjmował pokornie wszelkie impertynencje z ust Koniecznego. Konduktor najpierw sprawdził obydwu panom bilety, a następnie zaproponował, że zabierze do depozytu bagaż podróżnego ze Stalowej Woli, w którym zgodnie z nosem Koniecznego, znajdowała się mocno naczosnkowana wędlina. Hipolit Poręka przystał na takie rozwiązanie. Jego pełne oblicze dążyło całą swą witalnością do odzyskania pogody.

– Ja tam nie lubię się spierać – rzekł, gdy zostali sami. – Ot wiozę rodzinie trochę swojskich specjałów. Przyznaję, sama świeżyzna i rozumem, że szanownemu panu może to nie odpowiadać, ale ze mnie układny człowiek. Skoro konduktor chciał wziąć w depozyt, proszę bardzo. Niechby nawet skubnął sobie trochę salcesonu, czy kaszanki, niech mu tam. Przecież nie będę robił problemu z kawałka prosiaka. A nie wszędzie mają dobre zaopatrzenie. Stryjenka ze Śląska mówiła, że u nich od kopalń wszystko jedzenie jest czarne.

Konieczny nie zareagował. Nie zamierzał wdawać się w dysputę z prostakiem. Czarne jedzenie – co za bzdura – pomyślał. Podniósł wyżej gazetę, by skryć się przed współpasażerem.

– Jak nie umilknie, zawezwę znów konduktora – pomyślał stanowczo.

Tymczasem pociąg zatrzymał się na kolejnej stacji i do przedziału wsiadła kobieta w eleganckim kapeluszu. Jeden rzut oka pozwolił Koniecznemu zorientować się, że pozostała część garderoby nie nadążała szykiem

za nakryciem głowy. Jednak kobieta miała całkiem sympatyczne oblicze. Zdaje się, że była też dość młoda. Jeszcze nie tak dawno Filip Konieczny mógłby odłożyć na jej widok gazetę, ale odkąd ujrzał kobietę – aniola nie zamierzał rozpraszać wzroku dla drobnych przyjemności.

Adela Boruch okazała się guwernantką. Idealną rozmówczynią dla Hipolita Poręki, który był absolutnym miłośnikiem ludzi. Jak to wyraził – ciekawiły go wszelkie historie pozwalające wejrzeć w serca bliźnich. Guwernantka z racji swego wieku i dobrego wychowania w tak publicznym miejscu, jakim jest przedział kolejowy, nie miała nic do powiedzenia. Natomiast Hipolit Poręka w żadnym stopniu nie poczuł się zrażony jej powściągliwością. Wystarczyło mu, że znalazł w kobiecie serdecznego słuchacza.

– Bo widzi pani, prześladowuje mnie pewna historia. Po części to za nią idę do jednego pana profesora. Czy wierzy pani, za przeproszeniem, w duchy?

Hipolit Poręka nachylił się w stronę kobiety, jakby dla podkreślenia poufności pytania. Konieczny prychnął zniesmaczony zza gazety, zaś Adela poczuła nic skrępowania. Nie padła żadna odpowiedź.

– Oczywiście, że nie musi pani odpowiadać. Pozwolę sobie jednak kontynuować, a być może w trakcie zechce się pani jakoś włączyć, tudzież odnieść do tego co mnie spotkało.

Hipolit Poręka odpiął górny guzik koszuli i nieznacznie poluzował krawat w grochy.

– Nie dalej jak przed tygodniem, dokładnie w zeszłą środę, wracałem z kasyna do domu. Od razu zaznaczę, że byłem w sprawach handlowych. Prowadzę masarnię i zaopatruję pół powiatu – pochwalił się. I tak jak mówię, zdążyłem sobie spokojnie do domu. Na dworze szarówka, bo dzień chylił się już ku końcowi. Szedłem akuratnie w pobliżu ochronki, co to ją siostry prowadzą i nagle wyłazi mi na drogę mężczyzna. Całkiem blisko! Ze tak powiem, przed sam nos. I proszę sobie wyobrazić, widzę, że to – jak amen w pacierzu – wuj Ambroży. Z tymi swoimi bokobrodami, w surducie, jak go z dzieciństwa pamiętam. No mówię pani – żywy wuj Ambroży. Zwracam na to uwagę, bo biednego wujaszka pochowaliśmy ćwierć wieku temu.

Adela wydała z siebie odgłos zdumienia, a Konieczny nie zdzierzył dłużej słuchania zza gazety słów, które mu całkiem przyjemność lektury rozbijały.

– Cóż pan tu za fanaberie opowiadasz? W dodatku młodej damie! Ja zresztą także wypraszam sobie słuchać podobnych głupot.

Hipolita Porękę całkiem nie zmieszały ostre słowa Koniecznego. Ucieszył się wręcz, że wytworny pan także nadstawił ucha dla jego opowieści.

– Ależ głowę daję, że niczego sobie nie zmyślam! Samego mnie intryguje ta sprawa! Do tego stopnia, pan sobie wyobrazi, że zostawiłem interesa, by wyjaśnić dla dobra rodziny wszelkie istotne okoliczności.

– Zapewne zaszło jakieś nieporozumienie – włączyła się na przekór swej nieśmiałości guwernantka.

– Żadne tam nieporozumienie, droga pani. Wuj mógł mnie nie poznać, bo jakby nie było zmieniałem się prze te parędziesiąt lat, ale sam wyglądał dokładnie tak jak na starej rodzinnej fotografii.

Tu Konieczny aż się zerwał ze złości.

– Kategorycznie zabraniam kontynuowania tych makabrycznych bzdur! W przeciwnym razie zawezwę w tej chwili konduktora i pod zarzutem naprzykrzania się współpodoźnym każę wyprosić pana z przedziału!

Biedny Hipolit Poręka zamilkł w jednej chwili, rażony nie tyle samą groźbą wyrzucenia, co diabelnie władczym tonem Koniecznego. Zamilkł i to absolutnie na amen. W całym swoim życiu tak nie milczał. Nie pisał już do samego końca. Jak jakiś Buster Keaton.

Adela Boruch też siedziała strapiona i niepoczieszona. Ją akurat zainteresowała niesamowita historia z wujem Ambrozym. Jako osobie wykształconej znane jej były kwestie z zakresu spirytyzmu. Nie to, żeby praktykowała – broń Boże, była porządną kobietą – ale czytała o wywoływaniu duchów i niejedno sobie na ten temat wyobrażała. Tylko Konieczny czuł się kontent z ciszy, jaką zapanowała. Dla odprężenia sięgnął po nowy numer „Światowida”. W jego oczy rzuciła się od razu reklama nieznanego mu krakowskiej wytwórni tapet. Miał niebawym dar do wypatrywania ciekawych ofert i okazji. Od razu też zakreślił starannie ogłoszenie.

★

Ernest z Damianem szli ulicą Grunwaldzką nadzwyczaj różnym krokiem.

– Zajdziemy najpierw do Janczarkowej, a potem do Bałuckich – zawyrokował Ernest.

Janczarkowa była najgłośniejszą straganiarką w mieście, a Bałuccy prowadzili najwytworniejszy sklep dla dam. „Najmodniejsze wzory z Paryża, Wiednia i Warszawy” reklamowali się swym klientkom. Młodzi detektywi w życiu nie przekroczyli ich eleganckiego progu. Jeśli już – zaglądali do Lewana, który ubierał wytwornych panów. Z przyczyn finansowych nie robili tam zakupów, ale Damian wpadał od czasu do czasu, by podpatrzeć aktualne style i fasony. Miał niebawym talent do robienia się na eleganta. Choć od pięciu lat miał do dyspozycji jedną

parę porządnych spodni, tyleż samo koszul i marynarek, oszukiwał oczy przechodniów, a nawet samego Ernesta, co i raz zmieniając swój image.

Targ znajdował się przy jatkach. W zwykły dzień niewiele się tu działo, ale przy straganie Janczarkowej zawsze panował gwar. Kobiety długo wystawały z kobiałkami i koszami, plotkując i spierając się. Popularność Janczarkowej była tak duża, że mogła śmiało wołać o grosz, dwa więcej, niż inne przekupki, a i tak pierwsza wyprzedawała kasze, mąkę, jaja i warzywa. Tylko w owocach przegrywała z innymi, bo nie miała sadu i czasem tylko brała w sprzedaż cudzy towar, o który zresztą nie bardzo dbała. Janczarkowa była jak miejski słup ogłoszeniowy – zresztą z postury też wybornie się do tej roli nadawała. Kręcili u wokół niej różni klienci. Niektórych interesowało wyłącznie to, o czym się mówiło i co się mówiło. Damian od dawna wyrabiał sobie kontakty, choć do spraw, jakie wcześniej prowadzili wiedza Janczarkowej raczej się nie przydawała. Tylko z tym jabłkiem, co to niby wilkołak, czy inny wampir je ugryzł, przekupka pomogła wykluczyć starego Drybałę, którego paskudne użębie nie było jej dobrze znane. Zapewniła mu tym samym dobre – choć w sumie całkiem niepotrzebne – alibi.

– Ja będę z nią rozmawiał – zdecydował Ernest.

– Ty? Czemu ty? – obruszył się Damian – Wcześniej często mnie do niej wypychałeś

– Chodzi o dyskrecję. Nie możemy przecież pytać o tę kobietę, bo by się zaraz rozeszło.

– Za kogo ty mnie masz? Przecież to jasne!

– Skoro tak, to jasne powinno być też, że sam poprowadzę rozmowę.

Damian nie krył swego niezadowolenia, a jego obraza zasługiwała na ramki. Ernest nie chciał zadrażnień, więc zaraz przyobiecał, że u Bałuckich odda mu inicjatywę. To faktycznie pomogło.

Targ mieścił się wzdłuż drogi wylotowej na Stanisławów. Handlowali na nim wszyscy – Polacy, Żydzi, Ukraińcy i Cyganie. Jedni mieli zbite z desek stragany, inni kupczyli prosto z wozów i furmanek, jeszcze inni rozkładali towary na serwetach, a nawet na gołej ziemi. Młodzi detektywi zamierzali zrobić przy okazji trochę zakupów dla napełnienia swych wygłodzonych brzuchów. Pozagłębiali dłonie w worki z kaszą, popotykali się o kopce ziemniaków, pootrzepywali kurz przyniesiony z pól. Im dłużej przeglądali towary Janczarkowej i innych przekupek, tym bogatsi byli w wiedzę. Niestety nie całkiem taką jak chcieli. Świat kobiecych trosk i sensacji obracał się tego dnia wokół kolejnych rejterad tramwajowych, padłej krowy Bednarków, poświętecznej wyprzedazy towarów kolonialnych, krzewów różanych sprowadzonych przez starościnę i zwolnień w starej cegielni. I dopiero tego ostatniego wątku chwycił się Ernest.

– Dobrze, że chociaż papiernia pana Koniecznego rozwija się pełną parą – wtrącił niby to wzdychając nad ciężkim losem robotników z cegielni.

Przynęta chwyciła.

– O tak. Konieczny, to pan pełną gębą. Tylko patrzeć jak sobie pałac z tego wszystkiego postawi – rzuciła Janczarkowa.

– Jego żona już w atlasach chodzi. Szanowna pani widziała, jaką sobie ostatnio kreację sprowadziła – ponoć, że z samego Wiednia!

– I tyle jej wszystkiego – ucięła zaraz Janczarkowa – Po mojemu coś się u nich niedobrego święci. Mówiła mi wujenka, że Konieczny wodzi wzrokiem za tą młodą panią, co to u Pigoniowej garsonierę wynajęła.

Damian słysząc te słowa złapał za marchew i ścisnął jakby to była przepołowiona cytryna. Szczęście, że poza wiejskim, bosym chłopakiem nikt tego nie dostrzegł. Taki gest w wykonaniu Ernesta mógł wzbudzić niechciane komentarze

– A to panu Koniecznemu nie dość było skandalu z tamtą ulicznicą?

– Jak mężczyzna gorący...

– A jaki on tam gorący!

– Ha, ha, ha!

Rozkrzyczały się przekupki, a wszystkie ośmielone pyskają gębą Janczarkowej. Bo kto to widział, żeby takie straganiary śmiały mówić na głos o tak wielkim panu jak Filip Konieczny!

Prawdziwa rewolucjonistka z tej Janczarkowej – pomyślał Ernest z niesmakiem. Pomimo serdecznego nastawienia do świata i otwartości na lewicowe ideały, był zwolennikiem elitarnych ładów z epoki wiktoriańskiej.

Pigoniowa, Pigoniowa, skąd znam to nazwisko? – zastanawiał się Damian wałkując wewnątrz dłoni brud z marchewki. Ulica Szeroka, drewniany dom na porządnej podmurówce, okiennice z serduszkami – zaraz, naprzeciwko piekarni. Odprowadzał tam kiedyś jedną panienkę – Marianna jej było na imię. Chciał wejść za próg, ale Pigoniowa nie życzyła sobie ponoć żadnych kawalerów widywać. No ale kto wie, czy nie zobaczyła, bo Marianna nagle wyjechała z miasta. Damian zachował w najlepszej pamięci jej dołeczki w policzkach i kasztanowe włosy. A nawet nie tylko te kasztanowe...

Temat Koniecznego i jego zdradzanej żony już nie wrócił. Przekupkom zachciało się poutyskiwać na pogodę i policmajstra Junoszę, który w ostatnim czasie nadto panoszył się po targowisku. Niebo tymczasem przymierzało pochmurny durszlak, przez który zamierzało przelać trochę wody deszczowej.

– Będzie śniąc – wydedukował jak zwykle przewidujący Ernest.

– Chodźmy zatem do Bałuckich.

Za chwilę faktycznie zaczęło padać.

– Najpierw coś zjemy. Ten targ i kapuśniaczek jakoś na mnie zadziały.

Damian nie miał powodu sprzeciwiać się takim priorytetom.

– Idziemy do Ruska, czy do Żyda?

– Do Żyda. Pamiętaj mój przyjacielu, że posiadając niejaki kapitalik zawsze warto pójść do Żyda. Raz zapłacony posiłek procentuje u niego kolejnymi kredytami.

– U Ruska tak samo.

– Tak, ale Rusek dał nam kiedyś na ładne oczy, a Żyd nie.

Przyjaciele wdali się w dysputę o kupieckich zwyczajach, spierając o słuszność głoszonych tez, jednak kwestia najbliższego stołowania została już przesądzona. Damian lubił postawić na swoim, ale nigdy nie skutkowało to zmianą planów pode wziętych przez Ernesta. Taki już mieli układ.

Rosół i kasza gryczana ze zrazikami dotarły przed młodych detektywów na zgrabnych nogach Racheli. Damian oblizał się szybko. Czarne, długie rzęsy dziewczyny zatrzepotały wdzięcznie. Ernest westchnął tylko dla wyznaczenia granicy własnej cierpliwości. Nie potrafił spokojnie przechodzić nad flirtami kompana. Nawet tak delikatnymi. Cóż, kompleksy w dobie Freuda miały szeroki wpływ nawet na takich jak on.

– Wiesz, że ta dzierlatka odpracowuje ojcowski dług? – zagadnął Damian.

Ernest wciągał cicho makaron.

– To córka tego pijanicy, co ma – czy też raczej miał – zakład szewski. Stary ciągnął gorzałę, a ona musi się teraz uwijać między stolikami.

– Nie wygląda na nieszczęśliwą z tego powodu – uciął Ernest.

– No nie, wygląda... bardzo ładnie – rozmarzył się Damian.

– Za to Szmul coś dziś niewidoczny.

– On tak zawsze. Żydowska natura. Przyczać się, nie rzucać w oczy, wyczekiwać okazji – prychnął Damian, jakby był zwolennikiem endecji.

– Ale dziś chyba przesadził – zauważył po chwili Ernest, sięgając po talerz ze zrazikami. – W ogóle go nie widać zza kontuaru. Weź go zawołaj.

– Czemu ja?

– Ciebie szybciej usłyszysz.

Damian podniósł na Szmula głos, ale to nie wystarczyło.

– Musisz do niego podejść.

– Wystygnie mi kasza. Coś się go czepił? – Damian stracił od razu dobry humor, ale posłusznie wstał od stołu.

Irracjonalne polecenia Ernesta już kilka razy pchnęły detektywów na ciekawe tory. Gdy zabierali się za jakąś sprawę, nie odrzucali żadnych znaków ani impulsów. I tym razem okazało się, że coś jest na rzeczy. Stary Szmul nawet z bliska był niewidoczny. Damian dojrzał tylko płaszczące się przy samej podłodze odzienie. Musiał stanąć na palcach, by sprawdzić, czy w chałacie tkwi jeszcze jakaś część właściciela. Z podłogi dochodziły marne jęki i złorzeczenia. Damian nie był w stanie wyłowić z nich żadnych konkretnych słów.

– Chciałbym zapłacić – krzyknął w końcu, by w ten sposób zwabić ku sobie starego Żyda. Ale i to nie pomogło. Co prawda chałat jakby się trochę napełnił, ale Szmul wciąż tkwił w ukryciu.

– Mam interes – rzucił Damian na dokładkę. – Za gotówkę – dodał po chwili widząc, że z kołnierza wolno wychyla się siwa głowa. Szmul wciąż jednak bełkotał po swojemu, aż Rachela przystanąła z boku zakłopotana.

– Może ja pomogę – zaproponowała nieśmiało. – Szef ma dziś problemy metafizyczne.

Damian zrobił minę człowieka zainteresowanego.

– To przez cuda na rogatkach – wytłumaczyła dziewczyna, choć cóż detektywowi po takim tłumaczeniu. Damian postanowił nie zmieniać miny. Zwyczajnie nie mógł. Piękna Rachela nabrała więcej powietrza. Jej drobne piersi ładnie się uniosły.

– Coś z waszym krzyżem się stało – powiedziała cicho.

– Co też panienska opowiada? – podpuszczał Damian, którego nieco rozbawiły sensacje dziewczyny.

– Proszę sobie nie robić ze mnie żartów. Ludzie od samego rana chodzą oglądać zjawisko. Nie bacząc nawet na elektryczne monstrum hrabiego.

– W takim razie i mu pójdziemy zobaczyć – zdecydował Ernest, który przysłuchiwał się wszystkiemu, a że skończył już jeść, gotowy był z miejsca do drogi.

– Zaraz, moment. A moje zraziki? – zaprotestował Damian.

– Przykro mi. Cuda nie trwają wiecznie – zawyrokował Ernest.

Wiosna była w pełni. Świadkowie Jehowy znów zaczęli pukać do domów. Przekrzywiali ptasio głowy, chcąc zadać pytanie o sens życia. Z nowym zapałem przypominali o Potopie i zaraz wyciągali tęczowe nadzieje. Ludzie, jak co roku, przeganiali ich na cztery wiatry, zajęci kwitnieniem bzu i konwalii.

– Nie wydaje ci się, że ta droga biegła wcześniej bardziej w lewo? – zdziwił się Damian.

Ernest przyjął pozycję geodety.

– Moim zdaniem nie. Po prostu dawno tędy nie szliśmy. Czasem jednak w powietrzu jest coś takiego, co ułatwia oczom złudzenia optyczne. Na przykład świeżo po deszczu.

Damian nie lubił, gdy jego przyjaciel odwoływał się do nauk ścisłych. Zasady geometrii, pętle czasoprzestrzeni i krzywe Gaussa drażniły go i kłopotowały.

– A nie wydaje ci się czasem przypadkiem, że jesteś w błędzie?

On szedł tędy zaledwie trzy dni temu i dałby sobie rękę uciąć, że tamte dwa klony rosną tuż przy drodze.

– Bardzo często tak mi się wydaje, ale wówczas milczę.

Ernest lubował się w takich stwierdzeniach. Często rzucał je w dodatku po łacinie, albo w grece, ale w tym momencie nie chciał przeciągać liny, której koniec oplatał niedokończone przez Damiana zraziki.

Miasto zwieńczone wiejskimi peryferiami kończyło się chrzęstem żwiru pod nogami. Dalej był już piach – ciężki o tej porze od obfitych deszczy, tłoczących życie w korzeniowe brody. Nawet na zielonych spodniach Ernesta ukazały się po ostatniej ulewie zacieki przypominające siatkę liściowego unerwienia. Powiesił je w nasłonecznionym miejscu i czekał przez tydzień czy nie zakwitną. W poprzednim roku doczekał się niewielkich pączków, ale Damian posypał je cukrem pudrem i zjadł do porannej kawy.

– Marne to nasze miasto. Ledwo człowiek skądś ruszy, zaraz się domy kończą. Zwartej zabudowy tyle co kot napłakał. No popatrz. Drewniane chatynki z ogródkami. Jak na wsi.

Damiana ciągnęło do salonów i trotuarów, ale Ernest nie podjął tematu. Zaproponował za to inny.

– Dziwne, że nie zauważyłeś dotąd tej kobiety. Taki fircyk z ciebie, a nie byłeś na bieżąco.

– Daruj sobie takie uszczypliwości. – Damian spisał docinki przyjaciela na karb jego kompleksów. – Miej raczej pretensje do siebie. Pamiętam, że kiedyś notowałeś sobie wszystkie nowe osoby w mieście i nawet zakładałeś im kartoteki.

– To była strata czasu.

– Była.

W tym momencie oczom detektywów ukazało się zbiegowisko u rozstaju dróg.

– No i popatrz ile są warte żydowskie słowa – zadrwił Damian. – Polski naród modli się pobożnie, a czosnkojady widzą w tym nie wiadomo co.

Ernest patrząc na grupę kłęczących, od razu zauważył, że stary krzyż wokół którego się zgromadzili pozbawiony był poprzecznego ramienia.

Został po nim tylko jaśniejszy ślad na złączu. Ludzie modlili się głośno i żarliwie. Znać było, że tkwi w nich niepokój, którego źródłem mogła być profanacja, ale równie dobrze coś znacznie gorszego. Stary krzyż miał swoją historię, której początki były dość mroczne. Jak podawały parafialne kroniki, mieszkańcy ufundowali go w 1678 roku przeciw diabelskim mocom, które ich nachodziły. Zło przybywało pod różnymi postaciami, ale zawsze od tej samej strony świata. Przynosiło obce wojska, choroby, trzykrotnie pożar, który trawił tę część miejscowości. Ernest trafił też na zapis, że wcześniej stała tu szubienica, ale trafił w nią piorun. Choć spłonęła doszczętnie, przez pewien czas majaczyła mieszkańcom, strasząc upiorami, które się na niej huštały. Dopiero postawienie krzyża poświęconego przez samego biskupa, położyło kres koszmarom i kataklizmom.

– To chyba przez tę elektryczną bestię – zauważył Damian, który jak zwykle miał odmienne spojrzenie na sprawę. Faktycznie, nieopodal, wśród wysokich traw, stał tramwaj hrabiego. Pusty, samotny i cichy. Gdyby przyjrzeć mu się z bliska okazałoby się, że spoczywał na skromnym kawałku szyn, których ledwo starczało pod jego stalowe koła. Ernest dopiero teraz go dostrzegł. Tak już mieli. Dostrzegali co innego, widzieli w różny sposób, ale dzięki temu zyskiwali pełny obraz. Pozbawiony ramion krzyż, celujący w niebo. Cichnący w trawie tramwaj. Ludzie klęczący w trwodze i rozmodleniu. Istotnie było w tym coś niepokojącego. W ludzkich umysłach wciąż niewiele watów świeciło. Niewiele lat minęło odkąd przestano czynić znak krzyża na każde pojawienie się parowozu. W mieście były dopiero trzy odbiorniki radiowe, sześć telefonów i dwa automobile. Janczarkowa twierdziła też, że hrabia Drwęc ma „plazmę”, ale co to takiego – nawet ona nie wiedziała. Nikt inny tej tajemniczej plotki nie potwierdzał i tylko Damian miał napisane na małej karteczce „zbadać plazmę hrabiego”.

– Ciekawe, ciekawe – zamyślił się Ernest. – Dlaczego sądzisz, że to tramwaj uszkodził krzyż?

Stali teraz zaledwie kilka kroków od modlących się. Nie chcąc budzić podejrzeń przyklękli i ściszyli głos.

– Nie widać żadnych śladów, by tędy jechał.

– Nie doceniasz maszyny Drwęca. Wystarczy jej niewielki kawałek toru i wyładowanie elektryczne, by...

Ernest nie dosłyszał reszty teorii. Zagłuszyła je pieśń maryjna, przeplatana cytatami z wieszczka. Po chwili pociągnął Damiana za rękaw.

– Wracamy do domu. Coś mi się przypomniało.

– Mieliśmy przecież do Bałuckich! – zawołała zrezygnowany Damian, widząc, że jego przyjaciel ma zdecydowanie inne plany.

Filip Konieczny szedł ponurą fabryczną ulicą. Co i raz spoglądał w podręczny plan miasta, który kupił na dworcu. Mógł śmiało wziąć dorozkę, zwłaszcza, że bagaż miał mu prawo ciążyć, ale nie w smak było mu znów wdychać opary woźnicy i końskiego zadu. Poza tym, według mapy miał niedaleko.

Sciany domów dawno straciły ceglaną żywość barw. Niebo zapomniało o błękitnych możliwościach. Ciąg brudnych kamienic zastąpił wysoki obdrapany mur ozdobiony nieudolnymi graffiti. W to ponure tło wdarł się odgłos eksplozji, a zaraz potem ludzkie krzyki. Wydarzenie, sądząc po natężeniu dźwięku, musiało mieć miejsce gdzieś w pobliżu. I faktycznie po chwili Konieczny ujrzał ponad murem płomienie i ciemny dym.

– Ach te wypadki – pomyślał z goryczą. – Prawdziwa zhora naszych czasów. Postęp wymaga maszyn – coraz większych i bardziej zmyślnych. A im więcej maszyn, tym więcej awarii. Wycierają się tryby, palą przewody, rdzewieją osłony, a potem robotnikom urywa ręce, rozrywa brzuchy i wypala oczy. O ileż lepsza byłaby praca sterowana komputerowo!

Konieczny wzdygnął się na niechciane wspomnienie szczątków niešťczęśnika, zmasakrowanego w jednej z jego papierni. Z dobrego serca wypłacił wdowie całkiem spory datek.

Na ulicy zrobiło się tymczasem przykre zbiegowisko. Przyjechała kartka z czerwonym krzyżem i straż ogniowa. Niebo nad fabryką zasnuł jeden wielki kłęb ciemnego dymu. Konieczny przyspieszył kroku. Nie chciał oglądać ofiar eksplozji. Przeszedł od razu na drugą stronę ulicy. W nozdrzach czuł swąd, piekły go oczy.

– Kto wie co się tam stało, a ludzie lecą jak na paradę – pomyślał z właściwą sobie ostrożnością. – Zaraz skręcę w Hutniczą i będę prawie na miejscu – wyprzedzał bieg własnych kroków.

Pochopnie. Hutnicza była piekielnie długa i nieprzyjemną ulicą. Błyszczące pantofle Koniecznego skazane były na fatalne zbrukanie. Czekał je marsz przez rynsztok rozlany pomiędzy podwójnym rzędem ruder. Tutejsi mieszkańcy należeli do warstw, których nie przeniknęła żadna pozytywistyczna myśl. Taki Judym czy Brzozowska umarliby na Hutniczej z poczucia beznadziejności. Pod kapeluszem Koniecznego odezwała się nieoczekiwanie irlandzka nuta przeboju „Dirty Old Town”. Całkiem niesłusznie.

Konieczny szybko uwolnił się od melodii i stanął przerażony najbliższą przyszłością. Odstawił na moment torbę, uniósł kapelusz i otarł czoło z brudnego potu.

– Diabli mnie tu nadali – zaklął w duchu i rozejrzał za możliwością znalezienia innej drogi. Jego wzrok pędził po murach, parkanach i ciem-

nych zaułkach. Liczył bramy i wyglądał przecnic. Mocno wytężony wrócił do najbliższej perspektywy i na chwilę skrył się pod powiekami. Było źle, a gdzie indziej mogło być jeszcze gorzej.

Konieczny zrzucił na Hutniczą grad mydła w łagodnie zaokrąglonych kostkach i tyleż samo mięciutkich gąbek, ale już po chwili pożałował swej hojności. W rzeczywistości z nieba poleciały mydła podłe i kanciaste, a w miejsce egzotycznych gąbek, szczotki ryżowe.

– Myć się hołoto! – zawołał w myśli na całą ulicę – Szorować, czyścić, zmywać! Nikt tu nie słyszał o higienie osobistej? Wasza bieda bierze się z brudu i zaniedbania! Ohyda!

Nikt oczywiście nie reagował na rozpaczliwe wymysły Koniecznego. Nikt nie schylał się po środki czystości, które tak szczerze serwował. Zaatakował zatem z innej strony.

– Czy może ktoś tu słyszał o kulturze fizycznej? Cywilizowany świat organizuje piękne Olimpiady, dając szansę na ozdrowienie ciał i dusz. Reprezentanci narodów spotykają się na stadionach. W Anglii biedota gra w piłkę, biega, skacze – to nic nie kosztuje, a – zapewniam! – niejednego wyrwało z nizin społecznych. Podobnie w Niemczech i Francji. Jest tyle ciekawych i pożytecznych dyscyplin. Oczywiście po błocie biega się znacznie trudniej. Oczywiście nie można się otumaniać wódką. Oczywiście w smrodzie trudno o zapał dla oddychania pełną piersią. Oczywiście...

Konieczny oklapł. Nikt nie słuchał jego słusznych myśli. Ulica Hutnicza trwała w swej paskudnej formie. Ludzie łazili po niej beznadziejnie, mury murszały, żelastwo rdzewiało, z sieni cuchnęło, a z kominów dymiło potwornie. Wszystko tworzyło jedną organiczną i zdecydowanie paskudną całość. Dym wylatywał z kominów, kominy wyrastały z fabryk, w fabrykach pracowali brudni i śmierdzący ludzie, którzy mieszkali w zniszczonych i zatechłych kamienicach, kamienice stały między fabrykami, przy brudnych ulicach, po których chodzili pracownicy podobnych fabryk i ich biedne rodziny. Konieczny bardzo nie chciał wkraczać w ten świat. Bał się zbrukania, zaczepki, zwyczajnego chamstwa. Wiedział, że nigdy nie założylby dresu, nawet podczas niedzielnego grillowania z najbliższą rodziną. Teraz żałował swego sknerstwa. Najchętniej wynająłby zaraz jakąś taksówkę, albo nawet szczelnie zabudowaną riksę i kazał się przewieźć na drugą stronę koszmaru. Niestety teraz żadna tego typu okazja mu się nie przytrafiła. Za to inne owszem. Już bowiem został wypatrzony przez drobnych handlarzy – Zigarete? (ordynarne skręty), Szurowadła? (brudne, postrzępione sznurki), Gazetkę? (szmatławiec) Super gierki? (pirackie zgrywki). Już dwie kobiety uniosły bezwstydnie spódnice. Już miednica z pomyjami rozlała się tuż przed nim. Już jakiś

młokos popchnął go i zwiął – na pewno z drobnym łupem pod pazuchą. Nogi Koniecznego westchnęły i z uporem dbając o trzewiki ruszyły przed siebie. Po kilkunastu metrach zauważyły, że mogą się więcej nie trudzić. Buty raz dwa straciły blask, a krzywo stawiane nogi bolały.

Czy zachować resztki dystynkcji, czy może rzucić się rozpaczliwym biegiem, by jak najszybciej mieć to za sobą? – zastanawiał się, choć nogi już wiedziały co robić. I pewnie poniosłyby go jak gazeciarza z gorącym narzędziem „Kuriera”, gdy drogę zatarasowała mu niezwyklej urody Cyganka.

– Pan, pan. Poratuj! – padła na ziemię i złapała go za nogi. Jej gładko zaczesane włosy wśliznęły się pomiędzy kolana Koniecznego, stawiając go w sytuacji nad wyraz pokracznej.

– Zaraz, zaraz. Momencik – Próbował uwolnić się z żebraczego uchwytu kobiety – Tak nie można. Proszę wstać!

– Zmiłuj się bogaty pan.

Konieczny przekonany był, że wyciągnięte z kieszonki pół złotego załatwi sprawę. Cyganka co prawda pochwyciła monetę – uczyniła to z wprawą iluzjonisty tak, że Konieczny zaraz stracił pewność, czy dał jej cokolwiek – ale nic, a nic nie popuściła.

– Pracy szukam. Zarobku uczciwego. Tu tylko zgnilizna i upadek. Z wrócenia taka jak ja nie wyżyje.

Uniosła twarz i spojrzała Koniecznemu w oczy. Nie byłby mężczyzną gdyby opędził się od takiego wzroku. Dziewczyzna śmiało mogła się równać z piękną bohaterką „Dzwonnika z Notre Dame”. I to nie tylko urodą oczu.

– Nalegam, żeby pani wstała. Proszę!

Konieczny zauważył, że scena z jego udziałem wzbudziła już zainteresowanie co najmniej kilku osób. Przystanęli, wychylili się z okien, nadstawili uszu, a nawet zabrali głos.

– Bierz ją, na pewno cię będzie stać – zaśmiał się wulgarnie jeden ohydny typ. Był mocno pijany i śmierdział na odległość najgorszym z możliwych potów.

– Z Cyganami nie radzę zadzierać – zaskrzeczała jakaś starsza kobiecina spomiędzy doniczek pelargonii. – Mojego starego kozikiem potraktowali.

– Wezwij pan policjanta, to się odczepi – poradził staruszek w wytartym mundurze grenadiera.

A dzieciaki, które wybiegły z pobliskiej bramy krzyczały – Salome, Salome pokaż co tam masz!

Twarz Koniecznego czerwieniała coraz bardziej. Na dole, co chwila przebiegał bezradnie nogami, wciąż skrepowanymi objęciem dziewczyny. Jego laska co i raz stuknęła o ziemię, a torba objęła się o kolano.

– Stanowczo proszę mnie puścić! – wykrzyknął. – Jestem spóźniony na bardzo ważne spotkanie. – Próbował odepchnąć Cygankę, ale ta siedziała praktycznie na jego stopach całym ciężarem i z płaczem przytulała głowę do nóg.

– Dobrze, już dobrze! – Konieczny wpadł w desperację – Idę właśnie do wpływowego fabrykanta, więc zabiorę panią i osobiście polecę. Proszę tylko wstać, na Boga!

– To może i mnie pan weźmiesz – zawołała jedna kobieta z sutereny. – Nie mam za co dzieciaków nakarmić. Nie mam takiej ładniutkiej buzi, ale robotna jestem, jak mało która!

Na szczęście Koniecznego, Cyganka w mig się poderwała i prawie pociągnęła go za sobą. Tak go schwyciła ze rękę, jakby prowadziła do magistratu, rzezimieszka przyłapanego na gorącym uczynku. Drobną była i energiczna w ruchach. Ledwo za nią nadażał. A ludzie co i raz się za nimi oglądali.

– Gdzie go ciągniesz szachrajko? Nic ci nie da, a swoje weźmie! Patrzenie, Salome znów kogoś złapała! – krzyczeli.

Wszyscy ją tu chyba znali. Kobiety ciskały wzrokiem kamienie, mężczyźni wsadzali głębiej ręce do portek, dzieci kreśliły w powietrzu przeróżne znaki.

Cyganka co i raz spoglądała na Koniecznego. Różne rzeczy można było wyczytać z tych spojrzeń. Nadzieję, wdzięczność, zalotną obietnicę. Konieczny czuł w sobie niepokój, który przyprawiał go o dreszcz.

– Źle robię – myślał – ładuję się w niezłą kabałę. Nomen omen. Gdyby nie to wszystko, cała ta przeklęta Hutnicza... sam nie wiem. Co za kobieta!? Tamta biała, ta czarna. A moja żona... różowa. – W głowie Koniecznego nachodziły na siebie rzadkie skojarzenia i obrazy.

Szli tymczasem we dwoje tak szybko, że aż śmiesznie. Ona rozedrgana w tych pstrokatych falbanach, on sztywno jak pajac, czarny pajac – w dodatku. Ale plac Świętego Bonawentury, przy którym Szwarz miał swoje biuro znajdował się już blisko. Już nawet smród się rozrzedzał i błota ubywało. Cichł nieco harmider.

Fabrykant Szwarz, do którego zmierzał Konieczny, zajmował pierwsze piętro w okazałej, ceglanej kamienicy. Dorobił się na giełdzie. To tam skosił pierwszy milion. Teraz jego majątek trzykrotnie przewyższał kapitały Koniecznego, stąd to Filip musiał się do niego fatygować, a nie na odwrót. Szwarz robił już głównie w maszynach budowlanych i autostradach, ale od pewnego czasu żona męczyła go o zainwestowanie części fortuny w damską konfekcję. I tu spotkał się jedwab Koniecznego z kaprysem Gertrudy Szwarz.

Hutnicza przeminęła, a Konieczny już na placu Bonawentury zaczął

gorączkowo myśleć jak pozbyć się Cyganki. Przecież nie mógł z nią tak do Szwarca. Jakaż z niej była protegowana? Też by sobie referencji narobił, stając przed kontrahentem w tak pstrokatym towarzystwie. Tam, w brudzie i całej tej rozpaczliwej sytuacji mógł cokolwiek naobiecować. Filantropia wciąż była w modzie. Ale nie w biurze, kancelarii, gabinecie. Co robić, co robić!?

Chęć wykręcenia się z tej sytuacji okazała się tak silna, że w swej przemożności zapanowała nagle nad ciałem Koniecznego. Jego nogi wykonały niespodziewany ruch. Nienaturalny i raptowny.

– To tam – pokazała dziewczyna, widząc jak Konieczny zbacza z obranego toru. – Coś panu dolega? – spytała widząc grymas, który pojawił się na twarzy mężczyzny. Wewnętrzna rozterka wzmożona wysiłkiem umysłowym wykręciła już na dobre całym Koniecznym. Prezentował się przez to dziwacznie i nad wyraz szpetnie. Cyganka aż się zatrwożyła tym widokiem.

– Może zawezwać doktora? Proszę pana! – chwyciła go śmiało za ramię – Co się panu dzieje?

Konieczny być może uległby mechanizmom własnych psychicznych bebechów, ale bał się zbiegowiska i sensacji. Nie byli przecież sami. Dlaczego tu wszędzie jest tyle ludzi? Musiał zaraz powstrzymać ten nazbyt widoczny wykręt. Ludzie już się zaczęli wścibsko przypatrywać, czyniąc pierwsze ciekawskie kroki w ich kierunku. Tu kominiarz, tam pani z różową parasolką i pieskiem. Skąd tu na Boga taka paniusia?!

Konieczny zaczął się odkręcać, łagodnie na twarzy. Ale proces zaszedł w nim za daleko. Nie mógł w jednej chwili odzyskać eleganckiej prezencji. Zwłaszcza, że ciężka torba mocno mu w tym wadziła. Poprzednia niewygoda nałożyła się na tą nową i Konieczny o mały włos nie runął na ziemię. Co gorsza okazało się, że wytworną damą z parasolką była sama Gertruda Szwarc, która właśnie szła do męża ze świeżą porcją kaprysów. Właściwie mogła nie zareagować na pokraczny wykręt jakiegось tam przechodnia, ale zwróciła uwagę na towarzyszącą mu Cygankę. Ta niezwyklej urody dziewczyna dawno wpadła jej w oko. Lubiła ją obserwować z ukrycia. Intrygowała ją i ciekawiła. Pomimo swej próżności i zarozumiałstwa, czuła słabość do niektórych ludzi z nizin społecznych. Bynajmniej nie do parobków, zdrowych a niezamożnych młodzieńców, muskularnych buhajów fabrycznych. Pociągały ją biedne, młode kobiety, które dla pieniędzy gotowe były na największe poniżenia, a czasem i wręcz wyuzdanie. Gertruda Szwarc miewała na ich punkcie nadzwyczaj grzeszne fantazje. Nie kryły się za tym skłonności lesbijskie, bo ostatecznie chodziło przecież o uległość mężczyznom. Ale dla poczucia dreszczu potrzebowała tych biednych ślicznotek w typie Salome. Poży-

cie małżeńskie Szwarców psuły wielkopańskie aspiracje i niezdrowe poczucie wyższości. Obydwójgu wydawało się, że pewne rzeczy takim jak oni nie przystoją. Męczyli się z sobą przy zgaszonym świetle, w długich koszulach, dusząc z wysiłkiem wszelkie dźwięki. Szwarz korzystał rzecz jasna z burdeli, ale jakież cyrki wyprawiał przy tej okazji! Maskował się, ukrywał za grubymi przebraniami, przemykał jak robak. No i nigdy nie korzystał ze śląskich domów uciech. Jeździł w tym celu do Krakowa, a czasem nawet do Wiednia. Gdyby Konieczny o tym wiedział, może skusiłby Szwarca kresowymi uciechami, dla oszczędzenia sobie znoju podróży. Jednak w mniemaniu Szwarca, wszystko co dobre kończyło się na linii Wisły i nawet taki Lublin nie mógł się zaliczać do jego świata.

Tymczasem jednak sytuacja Filipa Koniecznego stawała się coraz bardziej niekorzystna. Dziewczyna przytrzymywała go pod ramię, niczym chorego, lub gorzej – pijaka. Widok ten zrodził w głowie Gertrudy Szwarz jakieś fatalne przypuszczenia. Wysforowała się przed pozostałych ciekawskich i energicznie wkroczyła w sytuację. Chciała skorzystać z okazji, by zbliżyć się do dziewczyny.

– Co też pan wyprawia! – krzyknęła oburzona – Kto to widział tak wieszać się na delikatnej kobiecie! – Mówiąc to bez pardonu zdzieliła Koniecznego parasolką.

Jemu ten atak od razu pomógł. Zanim poczuł na grzbiecie parasolkę, wyprostował się gwałtownie i w mig odzyskał godną twarz.

– Szanowna pani wybaczy. Zaszło jakieś nieporozumienie – mężnie przyjął cios i zaraz przeszedł do eleganckiej kontrofensywy. – W istocie to ja służę pomocą tej ubogiej dziewczynie, o czym zapewne gotowa jest zaraz zaświadczyć – spojrzął na Cygankę pewnym siebie wzrokiem. Dziewczyna lekko zdumiona kiwnęła dla potwierdzenia głową.

Ale Gertruda Szwarz nie dała się tak łatwo zwieść. Od razu okryła się gniewnym rumieńcem i machnęła Koniecznemu parasolką przed nosem.

– Hola, hola! – zawołała. – Wszyscy widzieli coś pan tu wyprawiał. Aż pana skręcało, by wykorzystać tę biedną dziewczynę. I to w publicznym miejscu!

Cyganka dopiero teraz skojarzyła kim jest niewiasta, która się za nią wstawiła. I aż się za głowę złapała. Konieczny wpadł w oburzenie i po swojemu mocno poczerwieniał. Salome nie wiedziała co robić. Jakby mogła, wysłałaby pewnie sms-a do przyjaciółki, ale to zdecydowanie nie wchodziło w rachubę.

– Wypraszam sobie podobne impertynencje! Gdyby nie była pani kobietą... – krzyczał Konieczny

– Coś takiego! Jak pan śmie! Po tym co pan tu wyprawiał.

– Nie no, nie no, co za komedia! – Konieczny wpadał w coraz większe obruszenie

Cyganka zaczęła go lekko ciągnąć za rękaw, by powstrzymać tragiczne faux pas, ale tylko go tym rozsierdziła.

– Widzi pani? Widzi? Przecież to ona się mnie uczepliła. Chyba nie sądzi pani, że może mnie coś łączyć z kimś takim?

– Czyżby? Już ja znam takich panów. Z wierzchu szacowni obywatele, a głowy pełne brudnych myśli. Zerujecie na ludzkiej nędzy i rozpaczy!

Konieczny zadrzał do głębi wyprowadzony z równowagi. Jego godność zaznała w tym momencie nazbyt wielkiego uszczerbku.

– Dość, dość! Zaraz dostanę ataku apopleksji. Nie mam przyjemności dłużej z szanowną panią konwersować. W tej chwili się oddalam.

I tu Konieczny wykonał ruch, w którym wyzwolił się nie tyle z dysputy z Gertrudą Szwarc, co z towarzystwa Salome. Tak się zgrabnie wykręcił, strząsnął ją z siebie, że wszystkich tym zaskoczył. Cyganka musiała przeżyć chwilę pauzy, zanim mrugnięcie powiek przywróciło jej oczom rzetelny obraz sytuacji. Dopiero kolejny impuls miał poruszyć jej nogi do pościgu, ale tu nieoczekiwanie stanęła na przeszkodzie pani Szwarc. Otoczyła Cygankę delikatnym ramieniem i wyraziła w tym geście wolę obdarowania czymś naprawdę serdecznym i znaczącym.

– Moje dziecko – zaszczębiotała nienaturalnie, tym bardziej, że dziewczyna była od niej młodsza najwyżej dwa, trzy lata – pozwól okazać sobie pomoc. Zapomnij o tym podłym jegomościu. Chodź ze mną, mieszkam tu nieopodal. Zresztą musisz mnie znać. Jestem żoną Apolinarego Szwarca – możesz się do mnie zwracać pani Gertrudo...

Konieczny już tego nie usłyszał, bo wystrzelił z okowów losu niczym Orient Express, albo inna Trans Inter Lux Torpeda. Pani Szwarc nadała dziewczynie kierunek dalszych kroków. Chciała wziąć ją do siebie. Nakarmić, wykąpać, ubrać, dać dach nad głową, a w przyszłości może wprowadzić na jakieś późniejsze salony. W istocie chodziło o zaspokojenie własnych, próżnych – a nawet perwersyjnych – instynktów. Chciała obserwować jej wdzięczność, podległość, a zarazem rozgrywać przy jej udziale dramat, lub komedię – w zależności od nastroju. Myślała by wpechnąć dziewczynę w jakiś burzliwy romans. Naczytała się ostatnio powieści o łożowych i nierzadko tragicznych mezaliansach i marzyło jej się podobne przedstawienie w naturze. Od dawna chodziła jej po głowie podobna gierka. Była to o wiele silniejsza zachcianka niż interes z damską konfekcją. Do tamtego potrzebowała męża, a to byłoby wyłącznie jej. Zrzędzeniem losu, pośrednikiem w spełnieniu obydwu tych zachcianek był Filip Konieczny. Gertruda Szwarc podążała właśnie ze swą zdobyczą jego śladem. Nie zdziwiło ją nawet, że ten antypatyczny typ, z którym

miała przed chwilą starcie, zmierzał właśnie do jej kamienicy. Przez gabinet męża przewijało się wszak wielu równie okropnych interesantów, a nawet lokalnych polityków.

★

Hrabia Drwęc dopijał z trudem drugą butelkę burgunda. Powinien poprzestać na dwóch-trzech lampkach, ale był na tyle zgnębiony, że postanowił brnąć w przepicie i kocie torsje. Siedział naprzeciwko portretu ojca – Ksawerego Drwęca – pana pełna gębą, którego okoliczny lud bał się i słuchał w uniżeniu. Ksawery hołdował klasycznej szkole panów. Lubiał prac parobasów po gębach, a wieśniaczki chędożyć na łonie natury. Względem swej małżonki też był hardy i gdy mu zmarła na suchoty nie uronił nawet jednej łzy. Juliusz w ten tragiczny czas miał zaledwie pół roku, tak więc matki, biedaczek, nie pamiętał. Niektórzy złośliwcy mawiali, że jest z nieprawego łoża, bo nad podziw zdrowo się chował, jak na tak słabowitą rodzicielkę. Oczywiście łożo należało traktować symbolicznie, bo jak zostało wspomniane Ksawery brał dziewczuchy głównie pod gołym niebem (tak już miał, że na świeżym powietrzu nachodziła go większą chuć). Juliusz, tak jak wszyscy, bał się ojca i tak jak on nad grobem żony, tak Juliusz na pogrzebie Ksawerego, nie zwilżył policzka łzą. Surowe stosunki z ojcem uczyniły z niego buntownika. Chciał koniecznie zobaczyć w akcji The Clash, ale zanim się wybrał do Zjednoczonego Królestwa, panowie zmienili styl, a potem w ogóle się rozpadli. Juliusz od małego czuł się źle ze swym szlachectwem, a z nastaniem pełnoletniości, zamarzył najpierw o zmianie płci, a potem o przekazaniu majątku na rzecz „zielonych”. Wielkie nadzieje pokładał w niektórych rewolucjach – zwłaszcza we wszelkich obyczajowych, bo w marksistowsko-bolszewickie jako Polak wierzyć nie mógł. Choć szczerze wolałby mieć w żyłach czerwienią krew.

Za oknami fest wiało. Pozbawione podmurówek domy aż podskakiwały, a droga do dworu falowała niczym fryzura Chopina. Przynajmniej Juliusz tak to widział, zerkając znad butelki z potrzebą zanurzenia wzroku w sinej dali. Alkohol szkodził jego zdrowiu i nastrojał melancholijnie. Jego picie było całkiem bez sensu, ale dla buntownika i człowieka nękanego notorycznie przez depresje nie było to niczym nadzwyczajnym.

– Co mnie podkuśiło z tym tramwajem? – zapytał na głos, tak, by usłyszał go ojciec na portrecie i być może któryś z robotników zatrudnionych przy kopaniu rowu pod światłowody. – Mogłem ufundować szpital, albo ochronkę. Otworzyć tartak, czy dajmy na to idealnie przeszkloną galerię handlową. Byłoby z duchem czasów i po bożemu. A tak tylko się do reszty pogąrzyłem. Nie dość, że arystokrata to jeszcze – tfu! – ekscentryk!

Rozżalenie hrabiego było tym większe, że zaraz po obiedzie pokłócił się ze swoją elektryczną fanaberią i wziął z nią zdecydowany rozbrat. Chwilę potem zasiadł do flaszek, a tramwaj, jak wiadomo, wyskoczył za miasto i tam iskrzył cicho i niebezpiecznie wśród traw.

W zamku robiło się coraz bardziej strasznie. Hrabia wiedział, że w północnych komnatach nie powinien się już w ogóle pokazywać. Od lat widywał tam przedmioty, które należały do niezżyjącej części rodziny i kategorycznie nie chciały mu służyć do czegokolwiek. Ich samowola – zrazu komiczna – z czasem stała się prawdziwie nieprzyjemna, a nawet groźna. Nieobliczalne sprzęty trzeszczały, przewracały się i spadały. Pokrywały się ohydny kurzem, łamały i gubiły w szparach. Drwęc miał z nimi same przykrości. A co dopiero w tak burzliwe dni, jak ten!

Teraz na dodatek coś załomotało w hrabiowską czaszkę. Mogła to być pulsująca z przepicia żyła, ale równie dobrze odgłos walenia w drzwi frontowe.

– Tramwaj wrócił! – przerażenie przemknęło przez nietrzeźwą głowę Juliusza. Zupełnie niepotrzebnie. Do drzwi zamku kołatały dwie kobiety. A właściwie tylko jedna z nich, bo druga była już ledwie żywa ze starości. Na ich nieszczęście, hrabia dość długo kazał na siebie czekać. Gdyby nie czujność jednego z robotników, kobiety mogłyby zakołatać się na śmierć.

– Upraszam się o wyrozumiałość, ale jakieś panie przyszły do jaśnie pana hrabiego – zaanonsował Jakub Kapuśny, najbystrzejszy z pozostałych mu najemnych chłopów.

– Zaraz ci chyba gwizdnę za tego jaśnie pana! – zagroził hrabia, wciąż po rewolucyjnemu czuł na zbytek przestarzałych form. Ale skończyło się na samej pogróźce, bo tuż za Kapuśnym pokazały się wspomniane niewiasty.

– Czy starowinka może spocząć, panie hrabio? – spytała kobieta, która gdyby nie kaptur na głowie, od razu wydałaby się Juliuszowi nadzwyczajnej urody. Druga, nazwana starowinką, nie czekając na przyzwolenie osunęła się na siedzisko. Doprawdy kiepsko z nią było. Kapuśny czuł o biedaczki zapach kostuchy i na wszelki wypadek zmył się raz dwa.

Tymczasem hrabia Drwęc miał przyjemność ujrzeć piękno pod kapturem, który opadł miękko na kruche ramiona niewiasty.

– Oh, I'm sorry – zachnął się najmłodniej jak potrafił i wybiegł do łazienki, by sprać się po twarzy dla jako takiego wytrzeźwienia. Juliusz Drwęc znał tę kobietę. Była iście niebiańska. Zjawiała się w mieście nie wiadomo skąd, podobnie jak teraz u niego. Mogła na poczekaniu spustoszyć jego męskie serce – tak jak to uczyniła z komorami Filipa Koniecznego i jeszcze kilku innych, dotąd anonimowych delikwentów

z całej okolicy. Hrabia nie był gotów na taką wizytę. Podobnie jak starowinka, która właśnie żegnała się ze światem skupiając mętniejący wzrok na tragicznie nieistotnej drobince nawianej przez wiatr. Młoda kobieta obserwowała z dużym zakłopotaniem jej ostatnie tchnienia. Błędem był zabieranie do hrabiego kogoś w tak poważnym wieku jako przyzwoitki. Gdy Drwęc wrócił do sali szarpiąc dziarsko wąsa dla dalszego otrzeźwienia, z miejsca zaproponował przejście do komnaty kominkowej.

– Starsza pani będzie musiała tu zostać – zdecydowała roztropnie młoda dama.

– Naturalnie, niech zostanie. Paniąka pozwoli, Juliusz Drwęc jestem

– Julia Poniecka – dygnęła niewiasta

– Poniecka? Po – niec – ka? Coś mi to mówi – zauważył głośno hrabia – ale później ustalimy co. Cóż sprowadza paniąkę w moje progi w tak wampiryczny czas?

Kobieta usiadła na brzegu kanapki, a hrabia spoczął w głębokim fotelu naprzeciwko. Kątem oka dostrzegł, że ogień ledwo płonie, więc zaraz chwycił pogrzebacz i wzburzył tłące się bez emocji polana.

– Sprawa, z którą osmieliłam się przyjść, jest niezwykle delikatnej natury.

Zdanie to, choć ograne, sprawiło Ponieckiej niejaką trudność. Podobnie było z drugim, nie mniej typowym. – Z góry upraszam się o najwyższą dyskrecję.

Hrabia kiwnął głową najwyraźniej jak potrafił. Bał się, że ta urodziwa młoda dama cierpi na braki intelektualne, które poważnie utrudnią sensowny rozwój bliższej znajomości.

– Potrzebuję pomówić z kimś światłym. Oczytanym w wielu dziedzinach, a zarazem otwartym na sprawy... nadprzyrodzone.

– No to może ksiądz dobrodziej bardziej by się nadał? – zaproponował Drwęc, ale głównie przez próżność, bo oczywistym było, że gdyby kobieta chciała udać się do księdza, to byłoby jej znacznie łatwiej, niż tu, do zamku. Nie musiałyby robić przedstawienia z przyzwoitką – świeć już panie nad jej duszą.

– Z księdzem na tym etapie wołałabym nie...

– A zatem do rzeczy.

Hrabia założył konkretnie nogę na nogę i sięgnął po papierośnicę, oczekującą posłusznie w zasięgu ręki na podobny gest. W jej aktualnej ofercie znajdowało się kilka smukłych chesterfieldów.

– Czy już przypomniał pan sobie hrabio skąd kojarzy moje nazwisko?

– Jeszcze niestety nie. Tak jakoś... – Juliusz próbował rozejrzeć się we wspomnieniach, lecz bardziej liczył na odpowiedź ze strony gościa.

– Mój ojciec Remigiusz Poniecki pracował w zamku jako sekretarz.

–No cóż. Tak jakby sobie przypominam. Zapewne mój ojciec lepiej by kojarzył. Ja tam ze służbą wszelaką wzięłem rozbrat. Panienska rozumie... teraz nie czas na arystokratyczne zbytki. Ja najchętniej przemieniłbym te mury w tętniącą maszynami fabrykę.

–Za pozwoleniem. Mój tata był sekretarzem u pańskiego dziadka, Stanisława Drwęca.

Hrabia początkowo zrobił minę w rodzaju „ach tak”, ale za chwilę zmienił ją na całkiem inną.

–No, to raczej byłoby niemożliwe, zważywszy na wiek panienki... i moje lata.

Julia Poniecka musiała zebrać w sobie nowe siły do rozmowy. Wiedziała, że najtrudniejsze dopiero przed nią, toteż utkwiała wzrok w drewnianej poręczy kanapy, szukając wszelkiego wsparcia.

–W tym cała rzecz. Mój tata nie żyje od czterdziestu trzech lat. Mogę to udowodnić –dodała zaraz dobitnie.

–A więc jednak biedactwo ma pomieszane na umyśle –pomyślał Drwęc i zrobiło mu się podwójnie przykro. Raz –ze zwykłego ludzkiego współczucia, dwa –z urażonej męskiej próżności, której schlebiała wizyta młodej damy o potrzebach towarzysko-konwersacyjnych. Tymczasem Poniecka pograżała się coraz bardziej.

–Ja sama zmarłam przed blisko trzydziestu laty...

–I istnym cudem nie jestem duchem –dodał w myślach hrabia. –Proszę tylko dotknąć, jak żywe mam ciało –kontynuował w myślach.

W ten oto sposób nabrał przekonania, że ma do czynienia ze sprytną ulicznicą, co samo w sobie uznał za dość interesujące i na pewno bardzo nowoczesne.

Przez te nieco pobudzające zmysły koncepty nie dosłyszał kolejnych zdań swego gościa i dopiero wyraźny pytajnik w następnym z nich, przywołał go do dialogu.

–Czy zna się pan na reinkarnacji?

Juliusz Drwęc nie wiedział co w tych okolicznościach ma odpowiedzieć

–Nie wiem. To znaczy, pani zmarła i znów się narodziła w nowym wcieleniu?

–Właściwie to... nie bardzo w innym. Właśnie chciałam się dowiedzieć, czy możliwy jest powrót w tej samej postaci?

Julia Poniecka szczerze była sobą zakłopotana. Wiele razy układała w myślach tę rozmowę i kilka razy udało jej się nawet uzyskać przyzwolony efekt. Wyobrażała sobie, że wzbudza zainteresowanie, a nawet grozę. Tymczasem z twarzy hrabiego wyczytywała na zmianę drwinę, zakłopotanie i irytację. Najgorsze z branych pod uwagę wariantów. Po co ona tu

przyszła? Zaskodziła tylko tej biednej starowince, którą nieopatrznie doprowadziła ku śmierci. Dobrze wiedziała jak to jest. Sama przecież usłyszała już to sakramentalne „nadszedł czas”. To, że wróciła niedawno pomiędzy żywych, nie zmieniło jej uczuć względem zjawiska śmierci. Wcale nie wiedziała dlaczego tak się stało i na jakiej zasadzie. Nie czuła się ani odrobinę mądrzejsza. Nikt, ani nic nie oświeciło jej w czasie gdy nie żyła. Teraz również nadzieje pokładane w Juliuszu Drwęcu okazały się zdecydowanie płonne. Obecność w jego domostwie od kilku minut skłaniała ją zdecydowanie do zamknięcia w sobie.

–Przepraszam, pójde już – wyszeptwała, choć hrabia próbował akurat znaleźć się jakoś w sytuacji i nawet sięgnął po jedną modną książkę spirytystyczną

★

Przed kamienicą Ernesta i Damiana było gwarno i tłoczno. Różni się zeszli. Co więcej – ambulans stał i wóz policyjny samego naczelnika. Znaczący się jakaś przykra i kryminalna sprawa zaszła. A przykra tym więcej, że naszych detektywów przy niej nie było.

–Niech to szlag! – uniósł się Damian – Własnego podwórka żeśmy nie upilnowali.

Ernest poczerwieniał. Tak działał na niego każdy barwny tłum, nie mówiąc o czerwonym krzyżu karetki pogotowia.

Byli mocno spóźnieni. Sanitariusze wynosili już ciało przykryte białym prześcieradłem.

–Pan Ernest! – wykrzyknęła Staroniowa – Proszę tylko zobaczyć. Takie nieszczęście! Panie Damianie, pamięta pan tego kawalera, co to do naszej panny Aurelii zawsze z bukietem przychodził. Zabity! Głowa rozbita. I to, zdaje się, głupim słoikiem.

Detektywi przepychali się do miejsca, w którym naczelnik policji Pawlikowicz marszczył czoło nad sytuacją. Ta, stawała się przez to jeszcze poważniejsza i bardziej zagmatwana.

–Dzień dobry panie naczelniku. I co my tu mamy? – przywitał się Ernest, który od dawna zabiegał o dobre stosunki z policją – jak dotąd bez rezultatu. Cóż się jednak dziwić. Z jego stażem i osiągnięciami detektywa nie mógł uchodzić za partnera komisariatu. Choćby najmniejszego.

Pawlikowicz potraktował go niczym fotoreportera łaknącego sensacji na pierwszą stronę gazety.

–Daj pan spokój. Stała się tragedia, no stała. Nie ma co węszyć. Młody był człowiek.

Ernest pokiwał głową jak należy. Damian nie bacząc na jego podchody szturmował z boku Staroniową. Drabinę swej ciekawości oparł

o gzyms jej cudownego biodra. Na posadzce krew spływała jak mogła w szpary i pęknięcia.

– Myśli pan naczelnik, że to brukowa historia? – dociekał cierpliwie Ernest.

– Co? – Pawlikowicz nie miał czasu na takie rozmowy. Od blisko pięciu miesięcy nie zdarzyło się w powiecie ani jedno morderstwo. Jeszcze nie dalej jak wczoraj kombinował czy wynik ten nie predestynowałby go do jakiegoś orderu, a tu taki klops!

Tymczasem Damian pokonywał kolejne szczeble Staroniowej.

– I cóż ta biedna panna Aurelia na taką historię? – dociekał cicho, niemal w samo delikatne ucho.

– Zdaje się, że om... omdlała.

Zdaje się, że to raczej Staroniowa omdlała od tego ciepłego szeptu w uszko. Damian musiał podchwycić jej kibić i na boczek odciągnąć.

– Droga pani nazbyt wrażliwa na takie zajścia – rzekł opiekuńczo. – Usiądźmy – zaproponował, wskazując chłodne schody klatki. – Kiedy to się zdarzyło?

– Ach, ledwo żeście poszli. Nawet za wami wybiegłam, gdy ten nieszczęśnik wyszedł nieprzytomny z piwnicy, zatoczył się i padł.

– Z piwnicy?

– Tak. Ktoś go tam chyba zdział po głowie.

Drzwi do piwnicy w istocie stały otworem. Tam, wśród ciemnych pajęczyn biegali ludzie naczelnika, czyniąc przesadny raban.

– I co? Macie coś? – krzyczał Pawlikowicz gromadząc wokół siebie nieliczne i tragiczne fakty.

– Tylko smród, panie naczelniku. Za przeproszeniem, smród wielce podejrzany! – odkrzyknął któryś z policmajstrów stojący na piwnicznych schodach.

– Dajcie no powąchać – zażądał stanowczo Pawlikowicz.

– Musiałyby pan naczelnik do nas zejść!

Pawlikowicz zszedł. Ernest ruszył śmiało jego autorytatywnym śladem.

– Poświecić? – zaproponował błyskając własnej roboty świecidełkiem, które zawsze miał przy sobie.

– Świeć pan.

– Nad jego duszą – dodała Staroniowa, która odprawiała już w imieniu całej kamienicy malutkie nabożeństwo. Nie chciała, by duch zamordowanego płątał się po klatce, czy – nie daj Boże – i tak mrocznej piwnicy. Na zło należało szybko reagować, a Staroniowa czuła się duchowym stróżem całego domu. To ona dbała zawsze o świąteczny wystrój w czasie wszelkich uroczystości. Była niezwykle sprytną i gorliwą katoliczką.

Wszelki element żydowski, unicki, prawosławny i ateistyczny przyćmie-
wała metodą mnożenia chleba i wina. Metoda ta świetnie sprawdzała się
w przypadku Ernesta i Damiana, których niejasny stosunek do wiary
granicył permanentnie z brakiem strawy cielesnej.

Ernest tymczasem gorliwie oświetlał drogę naczelnikowi, zanim za-
stąpił go w tym najbliższy policjant.

– A tu panie naczelniku nastąpiło śmiertelne w skutkach przywa-
lenie – pokazał policjant i rzucił światło na miejsce, w którym leżało
potłuczone grube szkło w beładnym otoczeniu brunatnej brei.

Tak mógłby wyglądać ślad po rozbitym słoiku z powidłami. Pawli-
kowicz szybko ułożył sobie prowizoryczne wytłumaczenie dla istnienia
dwóch śladów. Generalnie oparł je na tezie, że ten na górze był pochodną
pierwotnego z piwnicy. Denat, ugodzony tu w głowę uszedł jeszcze w za-
mroczeniu kroków kilka, dążąc do swojego światełka w tunelu na górze,
po czym padł i oddał ducha. Ale co wcześniej robił w piwnicy? Dlaczego
oprawca posłużył się słojem, a nie kołkiem, tudzież bryłą węgla, który
zalegał tu w dużej ilości? Pawlikowicz nie potrafił tego wyjaśnić. Zaśle-
piała go złość z popsutej statystyki i zmarnowanych perspektywy.

Ernest korzystając z ograniczonej emocjami uwagi naczelnika pobrał
czubkiem buta próbkę mazi ze schodów. Nie przejmował się brakiem
laboratorium. Wystarczyły mu tradycyjne środki poznawcze i amatorski
zestaw „Młody chemik” nabyty w czasach studenckich w centralnej
składnicy harcerskiej.

– Panie naczelniku – zameldował sprężyście wąsaty przodownik
– odkryliśmy stłuczenie okienka wychodzącego na podwórze. Pojawiło
się w nas też podejrzenie, że natrafiliśmy tym samym na drogę ucieczki
sprawcy śmiertelnego napadu. Proszę sprawdzić.

– Dobra – zgodził się Pawlikowicz – Zajdę do okienka od podwórza.
A pan? – naczelnik spojrział w nieprzychylny sposób na Ernesta. – Chy-
ba nie zamierza nam wadzić w dochodzeniu? Proszę stąd wyjść!

Ernest zareagował szybko i posłusznie, uważając tylko na pozyskaną
próbkę, obecną wciąż na czubku jego buta.

– Naturalnie pozostaję do dyspozycji pana naczelnika – zaznaczył na
odchodne.

W rzeczywistości wcale nie odczepił się od policjantów, lecz podążył
za nimi na podwórze. W przelocie schylił się i zgarnął chusteczką pobra-
ny ślad z pantofla.

– Pan Ernest jak zwykle ma baczenie na schludność – zauważyła Staro-
niowa, którą chłód schodów doprowadził do pełni sił spostrzegawczych.

Damian szukał w tym czasie dojścia do panny Aurelii. Od Staronio-
wej wyciągnął już nieprzyzwoicie dużo, ale z takim szepem i dłońią czu-

łą niczym u kasiarza, mógł dokonywać różnych cudów. panna Aurelia nie była mu rzecz jasna obca. Damian nie przepuszczał takich kobiet. Co prawda w kamienicy była rzadkim gościem, bo jak twierdziła Staronio-wa – stale wyjeżdżała do wód.

– Leczy się na kobiece sprawy – wypaplała bezwstydnie.

Kojarzył dobrze jej rodziców – wiecznie cierpiących na warunki życia w kamienicy. Wydawali mu się komiczni. I to do tego stopnia, że podejrzewał ze strony córki skrępowanie pokazywaniem się w ich obecności. Trzymali nieprzytomnie dużo służby, która nudziła się potwornie i męczyła w swym bycie ponad potrzeby. Dość powiedzieć, że zatrudniali nawet chłopca stajennego, którego jedynym obowiązkiem było sprawdzanie wyników gonitw, a w niedzielę wynajmowanie konnej bryczki na spacer po okolicy.

Jednak w tej konkretnej sytuacji wielość służby przydała się dla stworzenia prawdziwej barykady przed ciekawskimi. Damian – tak niezawodny w pokonywaniu oporu pokojówek i kucharek, był zasadniczo bezradny wobec męskiej służby. Jednego, dwóch mógł jeszcze zwieść, ale wobec całej armii niezwykle zasadniczych lokajów, musiał uznać się bezradnym.

Oczywiście, korzystając z ogólnego podniecenia mieszkańców kamienicy, umówił się z jedną pomniejszą służbowo fruzią o powabnych loczkach, ale dopiero na wieczór i bardziej liczył na słodkie całusy, niż cenne informacje.

Tymczasem Ernest postępował sprytnie za naczelnikiem Pawlikowiczem. Udało mu się idealnie wpaśować w jego cień. Był trudno zauważalny i zupełnie nieprzeszkadzający. Starszy aspirant Kwiatek nie wziął nawet pod uwagę jego obecności, gdy strzelił obcasami, by zakomunikować Pawlikowiczowi, że stało się coś niesłychanego.

– Panie komisarzu, stało się coś niesłychanego!

– Melduj!

– Denat zniknął!

– Jaki denat?

– Ten sąd, cośmy go z rozbitą głową zabrali.

– Niemożliwe.

– A jednak, panie Naczelniku! Już go nie ma.

Pawlikowicz powiedział, że do stu piorunów, takie rzeczy są nie do pomyślenia, z czym starszy aspirant Kwiatek skwapliwie się zgodził.

– Jak to się zatem stało?

Aspirant Kwiatek zdał drobiazgową relację. Nazbyt drobiazgową. Pawlikowicz nie wyłapał wszystkich szczegółów, więc poprosił o powtórkę. Ten drugi raz jakoś go uspokoił.

– Czyli faktycznie zniknął.
Naczelnik zamyślił się.

– To nawet dobrze – uznał po chwili w głębi duszy. – Tylko co z raportem? Tyłu ludzi widziało trupa.

– To nie wszystko panie naczelniku... – odezwał się znów Kwiatek

– Mianowicie?

– Gdy tak pędziliśmy z denatem, bądź już bez niego, bo jakoś lekko nam się pędziło, zważywszy, że po niebie przewalały się wówczas chmury ciężkie jak dzwon Zygmunta, otóż wtedy zajechał nam drogę pan doktor Konowiecki. Wracał od hrabiego z zamku i powiedział, że właśnie był potwierdził zgon starej Harconiowej. Wiek już miała pod umieranie, ale po co do zamku szła ducha wyzionąć – zwłaszcza w taką pogodę?

Pawlikowicz zaklął w duchu, a że mocno zaklął, to i na zewnątrz dało się usłyszeć. Ledwo się ucieszył z braku trupa, jak momentalnie zjawił się drugi, równie fatalny. Niby zgon starego człowieka nie ma tego wymiaru społecznego, co w przypadku osobnika młodego, ale kryminalnie nie ma niestety żadnej różnicy.

– I jakie kroki w związku z tym podjęliście, he? – Pawlikowicz spojrzał groźnie i zasadniczo na aspiranta, który nagle stracił zapał meldunkowy.

– To znaczy, powiadomiłem niezwłocznie o zajściu pana naczelnika.

– A co ze starą Harcowiną?

– Harconiową, panie naczelniku.

– Co z nią, pytam? – Pawlikowicz podniósł głos do niebezpiecznego formalnie poziomu.

– No, doktor powiedział...

– Wiem, co powiedział. Sprawdziliście opisany przypadek?

Aspirant Kwiatek próbował jakoś odpowiedzieć, ale w ogóle mu to nie wyszło.

– Niech to szlag! – zadysponował Pawlikowicz – Jedziemy do zamku!

– Mogę się zabrać? – wtrącił niepostrzeżenie Ernest

Jakoś nikt nie oponował. Być może dlatego, że prośba nie została odpowiednio zauważona. W każdym razie Ernest uczeplił się policyjnego samochodu i powiewając z lekka na wietrze luźnymi częściami garderoby, pojechał z policmajstrami do hrabiego Drwęca.

Damian, widząc przez okno przyjaciela znikającego w zakurzonym odbycie ulicy, uśmiechnął się z uznaniem.

★

Filip Konieczny był zbyt wzburzony, by bez uderzenia krwi do głowy wspiąć się na wysokie pierwsze piętro kamienicy Szwarca. Zapewne przystanąłby na półpiętrze, gdyby nie dostrzegł, Gertrudy w towarzy-

stwie Salome wstępujących za nim na schody. Poluzował tylko kołnierzyk pod szyją i pozwolił sobie na odrobinę dyskretnego sapania.

Gabinet Apolinarego Szwarca poprzedzał mitomański sekretariat z portretem samego przedsiębiorcy, wiszącym nad biurkiem jego sekretarza. Filip Konieczny podał szpakowatemu urzędnikowi bagaż oraz bilet wizytowy. Zażył też sobie wody, czyniąc przy tym niesłychanie pilną minę. Został bez szemrania obsłużony. Ale woda choć równie krystaliczna, co karafka, z której została nalana, wstrzymała swój bieg w połowie przełyku. Konieczny cofną ją niezdrowo na widok Gertrudy, która właśnie znalazła się w sekretariacie i bez żadnych ceregieli wkroczyła do gabinetu. Woda skapała częściowo Filipowi na surdut. Salome, której Gertruda nakazała gestem ręki, by poczekała przed drzwiami, na szczęście nie dostrzegła tego niezgrabnego wycieku.

– Pan to widział!? – oburzył się Konieczny, ryzykując dalsze zachłyśnięcie.

– To była pani Gertruda. Małżonka szanownego pana Szwarca. – wyjaśnił spokojnym tonem sekretarz.

Konieczny się niestety zachłysnął. Przez chwilę groziło mu coś niebezpiecznego, ale sekretarz umiejętnie dopomógł Koniecznemu w wyjściu z opresji. Salome też wykonała nieśmiały skłon w jego stronę, wyrażający pomocny odruch. Wyrwało jej się też niegłośne i całkiem eleganckie „ach”.

– To niemożliwe! – wykrztusił z siebie Konieczny – Cóż za przekleństwo...

– Przykro mi, ale w tej sytuacji muszę pana prosić o chwilę cierpliwości. A pani? – zwrócił się do Salome. Rzadko widział tu takiego gościa. pan Apolinary nie przyjmował u siebie kobiet. Zwłaszcza takich...

Salome nie zamierzała niczego wyjaśniać. Podparła ścianę i wydymając lekko wargi zaczęła lustrować nieskromne wnętrza sekretariatu.

– Może niech mnie pan przynajmniej zaanonsuje panu Szwarcowi, żeby wiedział, że jestem o czasie.

– Będę próbował – zgodził się ostrożnie. Widać było jednak, że wkraczanie do gabinetu, w którym przebywała małżonka, nie należało do łatwych. Sekretarz bardzo powoli zbliżył się do drzwi i przyłożył ostrożnie ucho. Drzwi były duże. Klamka znajdowała się na słusznej wysokości – mniej więcej przy podbródku sekretarza.

– Państwo zdają się być zajęci... – rzekł i spojrzął na Salome, która rozmyślała właśnie jak może wyglądać gabinet przemysłowca, skoro sekretariat błyszczy od wystawności.

– Gdyby nie byli, to nie czekałbym z wejściem – oznajmił Konieczny tonem, który miał zrobić wrażenie również na Cygance.

– No tak, no tak.

Sekretarz Szwarca był wyraźnie przytłoczony wielokrotnością konfrontacji z ważniejszymi od siebie ludźmi. Nie śmiał nawet przez chwilę być sobą. Delikatnie nacisnął klamkę.

Mógł zginać. Biurowe konfrontacje Szwarców były nadzwyczaj niebezpieczne. Ona bez pardonu wkraczała w sam środek najpoważniejszych interesów męża. Potrafiła stanąć nad makietą nowej fabryki i swoimi drobnymi paluszkami złamać w niej najwyższy komin. Przerzywała w pół zdania bankierom domagając się od męża natychmiastowego zamówienia nowego kremu, wody toaletowej, czy kreacji z Paryża. Sekretarz kilkakrotnie obiecywał Szwarcowi, że powstrzyma jego żonę przed kolejnym wtargnięciem. Bezskutecznie. Szwarz wiedział jednak, że powstrzymanie Gertrudy należy do zadań karkołomnych i nie winił swego pracownika za totalne niepowodzenia na tej niwie. Mógł oczywiście zmienić żonę, ale wiecznie brakowało mu do tego czasu. Poza tym podobała mu się energiczność Gertrudy i jej nowoczesne podejście do życia.

– Przepraszam najmocniej, pan Filip Konieczny do pana. Był umówiony... – zaanonsował najgłośniej jak mógł.

Gertruda wymachiwała mężowi jakąś gazetą przed nosem i trajkotała niczym kinowy projektor.

– Ach tak! – ucieszył się Szwarz – Niech wejdzie, naturalnie!

– Jeszcze nie skończyłam! – oburzyła się Gertruda. – Ten ćwok nie będzie nam przerywał.

– To poważny fabrykant z Wołynia

– Skąd? – zaśmiała się. – Tak myślałam. I zaraz ci w jego obecności powiem co o nim myślę!

– Moja droga! Moja droga! Jeśli mam ci zamówić ten naciągany specyfik, upraszam się o odrobinę taktu...

Konieczny właśnie wkroczył do gabinetu. Szwarz z zadowoleniem w oku dokonał jego oglądu, a następnie uprzejmie przedstawił małżonce.

– Z tym panem miałem przyjemność wymienić interesującą korespondencję. Jest on właścicielem papierni, trzech składów z jedwabiem i firmy przewozowej. Myślę, że współpraca z nim powinna cię żywotnie zainteresować, moja droga. Panie Filipie – przepraszam za tę bezpośredniość – ile czasu zabrałoby panu sprowadzenie z Warszawy emulsji dla mojej małżonki?

Konieczny wyjął z kieszeni zegarek, spojrzął na biurko Szwarca i posłał w kierunku Gertrudy pełen satysfakcji uśmiech. – Jeśli mógłbym skorzystać z aparatu telefonicznego, przesyłka dotarłaby jeszcze dzisiaj.

– Doskonale! – zatryumfował Szwarz – Słyszysz moja droga? Jeszcze dzisiaj! Prawdziwy express!

– Ten pan jest express, ale do uprzykrzania się młodym kobietom. – zaatakowała Gertruda, nie przebierając w środkach – Właśnie byłam świadkiem kuriozalnej sceny tego pana z pewną młodą Cyganką. Nie wiem co chodziło mu po głowie, ale tak przestraszył biedaczkę, że musiałam interweniować.

– Ależ moja droga. Cyganka to żadna dama. Przepraszam pana za moją żonę – Szwarz skłonił się ku Koniecznemu – Za dużo tych seriali... A jeszcze ostatnio naczytała się Zoli.

– Nie dama? Nie dama? To się jeszcze przekonasz!

Gertruda Szwarz obróciła się na pięcie i opuściła gabinet z trzaskiem drzwi.

Mężczyźni od razu odczuli ulgę. Szwarz zaproponował schłodzenie się wodą polarną „Przemysławka”, która dobrze robiła mu nawet na migreny, ale Konieczny podziękował.

– Mam zadzwonić? – zapytał dla pociągnięcia wątku usługi dla żony Szwarca.

– Zadzwonić? Aaa, to ...daj pan spokój! – Szwarz machnął ręką, ale dla ciekawości zapytał – Faktycznie byłoby na dzisiaj?

– Z dużym prawdopodobieństwem!

Siedli w fotelach i wdali się w rozmowę. Gabinet wypełniały fotografie i makiety posiadłości Szwarca: fabryki, kamienice, dwa czy trzy hotele na sztucznych wyspach, jakieś lasy – zdaje się, że tropikalne, a nawet jeden niewielki sterowiec. Konieczny opowiadał swoje wrażenia z Targów Wschodnich we Lwowie, na których największym echem odbiło się mocarne stoisko Sowietów. Szwarz zachwalał Pierwszą Wystawę Pomorską w Grudziądzu i proponował wyjazd na Międzynarodowe Targi w Poznaniu. Interesowała go produkcja tapet i usługi kurierskie. Nie tylko dla spełniania zachcianek żony, jak nadmienił ze znaczącym spojrzeniem w kierunku Opatrzności. Konieczny potrzebował zastrzyku kapitału na zakup nowych maszyn. Planował też rozbudowę firmy kurierskiej – brakowało mu zdecydowanie automobili. Szwarz gotów był zainwestować w nową spółkę. Anse małżonki nie były dla niego przeszkodą. Zawsze mógł ją czymś kupić. Do spółki kurierskiej mógł wnieść aport w postaci sterowca, na resztę miał wolną gotówkę, którą chciał jak najszybciej zainwestować z obawy przed krachem za Atlantykiem. Oczami wyobraźni widział już nowe eksponaty swego bogactwa w gabinecie. Tymczasem na jawie ujrzał małżonkę prowadzącą za rękę młodą Cygankę. Że też nie zamknął drzwi na klucz!

– Proszę cię bardzo. Jak chcesz robić interesy z tym panem, posłuchaj najpierw wróżby mojej nowej jasnowidzki! Ma niebywały wprost dar. Sama się o tym przed chwilą przekonałam!

Gertruda kłamała, ale złość tkwiła w niej wielką zadrą. Potrzebowała szybkiego rewanzu, a żaden lepszy pomysł nie przyszedł jej do głowy. Sabina miała przepowiedzieć mężowi wielką klapę, a Koniecznego zdemaskować jako łajdaka i szubrawca.

– Ależ Gertrudo! Co cię dzisiaj ugryzło? My tu z szanownym panem omawiamy ciekawe perspektywy, pieniądze liczymy, dzielimy się doświadczeniem, a ty mi wróżbitki ulicznej słuchać każesz? Cóż to za wymysły!?

Szwarc sięgnął po butelkę „Przemysławki” i zwilżył nią swe łysawe czoło. Dopiero teraz przyjrzał się Cygance i dostrzegł jej nieprzeciętną urodę.

– A jakaż to przeszkoda niby? – Gertruda już ręce męża i Salome splatała – Minutka, dwie. Posłuchasz tylko i uczynisz jak zechcesz. Pierwszy raz widzisz człowieka na oczy... Pamiętasz, jak cię jeden Żyd do wiatru wystawił?

– Nie wystawił, nie wystawił. Policzyliśmy się w końcu co do marki.

Ale Sabina już wpatrywała się w sieć linii wewnątrz dłoni Szwarca, którego przeszły miłe uczucie dotyku uroczej delikatności dziewczyny.

– Jakiś datek trzeba, żeby wróżba się zaczęła – rzuciła bez żenady najmniejszej.

– Przecież... – Gertruda ugryzła się w język.

– Na początek może być 50 groszy – Salome nie krępowała się być konsekwentną w swej profesji.

Szwarc bez namysłu dałby znacznie więcej, ale w innych, ma się rozumieć, okolicznościach. Salome przypominała mu pewnego wampa z paryskiego albumu, który nabył od dystrybutora z zakopiańskich Krupówek. Był miłośnikiem brunetek i w tej mierze cygańskie pochodzenie wcale mu nie przeszkadzało.

Dziewczyna dosłownie chwilę patrzyła na dłoń Szwarca. Jej oczy strzeliły niczym aparat fotograficzny i Salome bez wahania zaczęła kreślić wizje gór i dołków. Szwarc poczuł się niczym pasażer bujającej się na falach łajby. W jednej chwili przejmował fabrykę, po czym tracił ją w wyniku fatalnego zdarzenia – być może pożaru wywołanego upadkiem sztucznego satelity. Zakładał spółkę, której wspólnik trafiał do więzienia za malwersację i powiązania z PZPN-em. Miał wypadek podczas wizyty w Polskiej Organizacji Patentowej i walczył o życie, choć możliwe, że tylko spóźnił się z tego powodu na pociąg. Dla większej jasności, potrzebny był drugi datek. Szwarc tracił cierpliwość, ale przy Koniecznym i żonie musiał zachować powściągliwość. Dołożył monetę i od razu poprawił swój los.

– Proszę powiedzieć co wyjdzie ze współpracy z tym oto mężczyzną – poprosiła Gertruda.

Salome ujęła dłoń, podwójnie skrępowanego Filipa.

– Ten pan płaci osobno – zastrzegła Szwarzowa

Konieczny wyjął banknot, chcąc pokazać się z jak najlepszej strony. Cyganka przykryła nim szybko bilon. Dłoń Koniecznego była jakby bardziej szlachetna. Za to spinka w mankiecie nie dorównywała tej z koszuli Szwarca.

– Linie panów mają wspólny bieg przez czas dłuższy, co potem ...nie powiem. panu – spojrzała w oczy Koniecznego – prywatne sprawy ciężcy będą. Widzę wielkie uczucia i dramaty. To kobieta... niezwyčajna...

Salome nagle popatrzyła Filipowi w oczy odmieniona.

– Śmierć przy niej widzę.

Konieczny zmieszał się. Oblał kolorkiem. Dłoń ukrył zaraz w kieszeni.

– Mam rozumieć, że mojej małżonce coś grozi?

– Po prawdzie, nie wiem, kim ona jest dla pana – odparła Cyganka Szwarzowi zaświeciły się oczy, ale nikt tego nie zauważył.

– Zmieńmy może temat – zaproponował – Bo w sumie nie wiem, czy mamy zakładać spółkę w myśl tej kabały, czy nie? – zażartował, bo tylko dla świętego spokoju z żoną poddał się całej tej komedii.

– Przecież słyszałeś Apolinary, że ten pan ciągnie za sobą kłopoty

Gertruda nie była skłonna zmieniać tak łatwo stosunku do Filipa Koniecznego. Zaintrygowały ją te melodramaty, ale jakoś nie mogła uwierzyć, by osoba pokroju Koniecznego zdolna była do wielkiej miłości. Zwłaszcza wobec żony.

– Pozwól, moja duszko, że wezmę na siebie ryzyko w interesach. Powiedzmy, że pan Konieczny sprowadzi dla ciebie tę emulsję, co pozwoli mi ocenić jego rzetelność i operatywność

– Naturalnie, na koszt firmy – zaznaczył szybko Konieczny.